30 Lipca 2026 Nr 177 (18570)

Sport

81 LAT CZWARTEK

UEFA CHAMPIONS LEAGUE

Bez Gańby

Z DRUGIEJ STRONY



Paweł Czado

Wara!

Kiedy wybucha szambo, zatykam nozdrza. Kiedy wybuchają plotki, zatykam uszy. Muszę jednak przynajmniej otworzyć oczy i... poklepać w klawiaturę.

Otóż okazuje się niby, że pozycja Jana Urbana jest słaba i że szkoleniowiec mógłby stracić posadę selekcjonera reprezentacji. Nieważne, że w pierwszych siedmiu spotkaniach pod wodzą Urbana Polacy byli niepokonani, choć dwukrotnie rywalizowali z Holandią. Zagraliśmy w barażach, ale pamiętna porażka ze Szwecją nie pozwoliła zagrać w mistrzostwach świata. Podczas mundialu nie było o Urbanie głośno. Był na nim nieobecny. Szkoleniowiec nie skorzystał tym samym z okazji do podpatrywania rywali Polski w Lidze Narodów.

Nie wierzę, żeby PZPN chciał zwolnić Urbana. Nie wierzę bowiem, że jego zarząd może być tak żenująco głupi, tak prymitywnie zabiegać o atencję. Kiedy słyszę takie głupoty, to chce mi się jedynie śmiać. Bo uważam to właśnie za głupoty!

Po pierwsze - nieobecność wcale nie oznacza bierności. Nie trzeba być na mundialu, żeby dogłębnie analizować jakichkolwiek rywali. Nie trzeba błyszczeć na wybiegu, żeby wygrywać na murawie. Cały ten szum wokół jest na końcu nic niewart.

Po drugie - falstart w tych rozgrywkach miałby drogo kosztować 64-letniego (jak ten czas leci...) szkoleniowca. Że co?! Ludzie, po co właściwie w ogóle analizować rywali w Lidze Narodów?! Przecież to całkowicie wydmuszkowe rozgrywki ulepione z końskiego łajna i tak naprawdę nikomu niepotrzebne. Oddam jeden medal mundialu za 100 podiów Ligi Narodów, choć mam nadzieję, że ta idea umrze na suchoty znacznie wcześniej.

Po trzecie - gdyby Jan Urban miał odejść, to jego następcą mógłby zostać tylko i wyłącznie Gandalf Szary. Tylko z nim nasza reprezentacja byłaby w stanie odgonić Smauga na wschodzie i powstrzymać Saurona. A na poważnie - piłka nożna nie podda się zaklęciom czarnoksiężników. Żadna magia nie pomoże. Jedynie praca, wytrwałość i konsekwencja. Kon-sek-wen-cja! Bez konsekwencji wszystko obraca się w proch i pył. Właściwie zawsze.

Myślę, że to jest właśnie wielki problem polskiego futbolu. Brak konsekwencji. Jan Urban nie przeżył jako szkoleniowiec pełnego cyklu eliminacyjnego. Ratował jedynie sytuację i... nie uratował. Jeśli PZPN go teraz zwolni, przyzna tym samym, że miota się jak dzika kura w agreście. Prezes związku nie może zachowywać się jak Bogusław Radziwiłł, bo piłka nożna to nie jest jego folwark. PZPN jest jedynie depozytariuszem polskiej piłki nożnej, a nie jego właścicielem, a futbol to nie luksusowa rezydencja magnacka. Wierzę jednak, że rozum w tym przypadku jest u samej góry. Rozum dyktuje konsekwencję, jej brak to przyznanie się do błędu. Jeśli Jan Urban będzie musiał odejść, wierzę w zdolności honorowe zarządu PZPN i autodymisję.

Jan Urban ani mi brat, ani swat, choć nie ukrywam, że szanuję go za to, jakim był wspaniałym piłkarzem i za to, jakim jest przenikliwym trenerem. On rozumie futbol, nikomu nie musi nic udowadniać. To też jest ważne. Zawsze to lepiej, kiedy człowiek chce, niż kiedy musi. W mojej opinii Urban jest więc właściwym człowiekiem na właściwym miejscu.

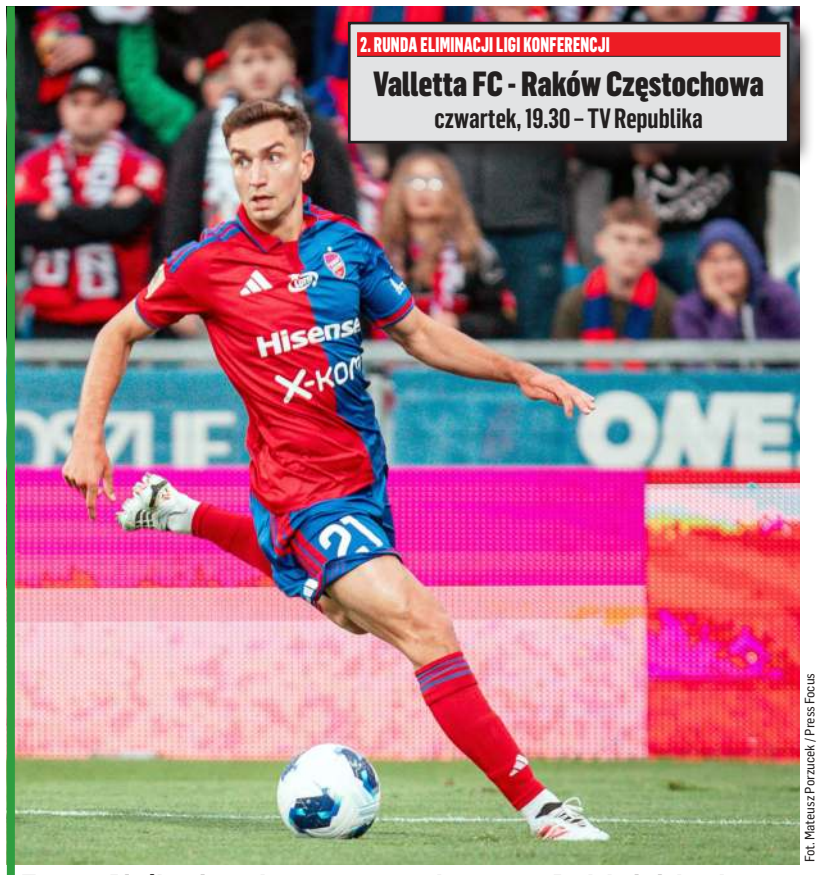
Reasumując. Mamy sezon ogórkowy, ogóry rosną nam wielkie, trwałe i twarde. Niech ta plotka o Urbanie rozpuści się w śmietance, gdy będziemy robić z nich mizerię.

Odtrutka ligowa

Dwubramkowa zaliczka sprawiła, że Raków udał się na rewanżowe spotkanie z Valletą przystemplować awans. Sytuacja w Częstochowie daleka jest jednak od komfortowej.

RAKÓW CZĘSTOCHOWA

Dostaliśmy jako pierwsi bramkę, na szczęście po przerwie się podnieśliśmy. Lecimy wygrać i dokończyć dzieła, a nie bronić zaliczki – przekonywał przed czwartkowym spotkaniem rewanżowym z Valletta FC pomocnik częstochowskiego klubu Tomasz Pieńko. Dysproporcje pomiędzy oboma klubami na każdej płaszczyźnie są tak duże, że słowa piłkarza należy odbierać jako coś oczywistego, a nie buńczuczne zapowiedzi. Z Vallettą Raków musi sobie poradzić i zapewne to zrobi. Posługując się jednak terminologią teleturniejową, to rywal na rozgrzewkę, na w miarę bezbolesne wejście w sezon. Każdy kolejny przeciwnik będzie bardziej groźny.



Fot. Mateusz Porzucek / Press Focus

Tomasz Pieńko nie zachwyca na początku sezonu. Podobnie jak cały Raków.

Zostali rozczytani

Już początek rozgrywek przynosi bowiem dla Rakowa duże problemy. Po przegranej inauguracji ligowej z Wisłą Płock (1:2) pojawiły się głosy o „zajechaniu" zawodników na letnich obozach w Arłamowie oraz Holandii. Zawodnicy lepiej prezentowali się podczas sparingów z Olimpiakosem czy PSV Eindhoven niż podczas dwóch pierwszych meczów o stawkę. – Czy mieliśmy ciężkie nogi? Ciężko powiedzieć... Z mojej strony wszystko fizycznie wyglądało dobrze, choć okiem widza może faktycznie mogło to tak wyglądać. Boisko też nam nie sprzyjało przez to, że było bardziej suche, mało zroszone – dość zaskakująco tłumaczył niedzielną porażkę zawodnik, który do Rakowa trafił z Zagłębia Lubin. Podobnie jak zdecydowanej większości kolegów jego forma daleka jest od optymalnej.

Od czasu, gdy po mistrzowskim sezonie (2022/23) drużynę opuścił trener Marek Papszun, Raków prowadzili Dawid Szwarga, ponownie Papszun, Łukasz Tomczyk i od końcówki poprzedniego sezonu Dawid Kroczek. Częstochowianie wciąż grają jednak wedle tego samego wypracowanego przed laty systemu: 1-3-4-2-1. Nie brakuje głosów, że obecnie jest on już dość archaiczny, a rywale nauczyli się gry Rakowa, do bólu wykorzystując każdy ich błąd. – Być może tak jest. Każda drużyna się rozwija, cała liga idzie do przodu. Raków gra bardzo podobnie od wielu lat, ma swoje DNA i zespoły się pod taką grę na pewno przygotowują. My możemy jedynie lepiej się zachowywać na boisku czy szybciej obracać. W meczu z Wisłą staraliśmy się grać atakiem pozycyjnym, ale nie przyniosło to skutków. Sytuacje stwarzaliśmy jedynie w momencie przyspieszenia. Rywal bardzo dobrze się bronił, dlatego trzeba było szukać szybkich rozwiązań, ale mieliśmy ich za mało. Podczas meczów kontrolnych faktycznie przy piłce wyglądaliśmy bardzo dobrze, nawet z topowymi europejskimi zespołami – przyznaje Pieńko.

Poza formą

O problemach z bramkarzami w Rakowie pisaliśmy w poprzednim numerze. Sztab szkoleniowy ból głowy ma jednak niemalże na każdej pozycji. Pozytywną wiadomością jest to, że badania Stratosa Svarnasa, który w niedzielę utykając, opuścił boisko już w 24 minucie, nie potwierdziły niczego groźnego. Grek może być więc gotowy do gry już na Malcie. Nie można jednak wykluczyć, że z Vallettą zagra Jerzy Napieraj, który dał dobrą zmianę, a po spotkaniu chwalił go trener Dawid Kroczek. – Wszedł w bardzo wymagającym momencie, a pamiętajmy, że kilka miesięcy temu grał jeszcze w IV lidze. Poza jednym błędem, który naprawił, doganiając napastnika Wisły i odbierając mu piłkę, grał bez kompleksów i z dużą pewnością siebie – mówił szkoleniowiec.

W środku pola Oskar Repka oraz Władysław Koczergin prezentują się zdecydowanie poniżej oczekiwań, a brak kreatora gry w tej strefie jest jednym z najbardziej rzucających się w oczy mankamentów Częstochowian. Na wahadłach? Niewiele lepiej. Erick Otieno dał dobrą zmianę przed tygodniem, ale całkowicie zawiódł z Wisłą. Michael Ameyaw sprawia wrażenie, jakby kompletnie nie pasował do takiego systemu gry. Adriano Amorim? Słuch o nim zaginął, a w klubie odbierają jedynie kolejne zwolnienia lekarskie z Brazylii i tak naprawdę niewiele mogą z tą sytuacją zrobić. Wciąż ze ścięgnem Achillesa po obozie w Holandii zmaga się Lamine Diaby-Fadiga. Wszystko to sprawia, że gra ofensywna oparta jest obecnie przede wszystkim na Patryku Makuchu, który ma bardzo dobre wejście w sezon. Były gracz Cracovii to duży plus obecnie w Rakowie. Minusów jest w tym momencie jednak zdecydowanie więcej. Chyba już nikt nie ma wątpliwości, że bez solidnych wzmocnień ten sezon może być dla Rakowa bardzo trudny. Może nawet najtrudniejszy od powrotu do ekstraklasy w 2019 roku.

Mariusz Rajek

II RUNDA ELIMINACJI LIGI MISTRZÓW

- **Lincoln Red Imps FC - Mjallby AIF 0:0. Pierwszy mecz 0:3 - awans Mjallby.**
- **Crvena zvezda - Larne FC 5:0 (2:0). Pierwszy mecz 4:0 - awans Crvena zvezda.**
- **Kajrat Ałmaty - Omonia Nikozja 1:0 (1:0, 1:0; 1:0) k. 6-5. Pierwszy mecz 0:1 - awans Kajrat.**
- **Dinamo Zagrzeb - FC Thun 1898 3:2 (0:2, 2:2; 2:2). Pierwszy mecz 1:1 - awans Dinamo.**
- **Hapoel Beer Szewa - Vikingur Reykjavik 2:0 (0:0). Pierwszy mecz 1:2 - awans Hapoel.**
- **Slovan Bratysława - Iberia 1999 Tbilisi 1:1 (1:0). Pierwszy mecz 2:0 - awans Slovan.**
- **NK Celje - Egnatia Rrogozhine 2:2 (1:1, 1:1; 2:1) k. 4-1. Pierwszy mecz 3:3 - awans Celje.**
- **Heart of Midlothian - Sturm Graz 0:2 (0:0). Pierwszy mecz 0:4 - awans Sturm.**
- **Kuopion Palloseura - Sabah Baku 0:2 (0:0). Pierwszy mecz 0:1 - awans Sabah.**
- **Shamrock Rovers - Ararat-Armenia Erewan 2:1 (2:0). Pierwszy mecz 0:2 - awans Ararat.**
- **Universitatea Craiova - Lewski Sofia 2:2 (1:2). Pierwszy mecz 0:1 - awans Lewski.**
- **Żalgiris Kowno - KI Klaksvik 1:0 (0:0). Pierwszy mecz 0:0 - awans Żalgiris.**



Fot. PAP / Jakub Kaczmarczyk

Zawodnicy Lecha w pełni zasłużyli na porażkę.

Wstyd, żenada, kompromitacja...

Lech roztrwonił w Poznaniu trzybramkową przewagę z Danii i zaliczył jeden z największych blamaży w historii występów polskich drużyn w europejskich pucharach.

ELIMINACJE LIGI MISTRZÓW

Jeszcze nigdy nie zdarzyło się, żeby polski klub roztrwonił trzybramkową zaliczkę z pierwszego spotkania w europejskich pucharach. Trener Niels Frederiksen nie chciał, żeby to Lech stał się tym pierwszym i na rewanż posłał najmocniejszy skład, w którym zaszła tylko jedna zmiana – Joela Pereirę zastąpił Robert Gumny. Zawsze musi być jednak ten pierwszy raz...

Kara za głupotę

I być może duński szkoleniowiec w 32 minucie żałował tej zmiany. Prawy obrońca wyłuskał piłkę w okolicach własnego pola karnego, ale podał zbyt nonszalancko i napędził akcje zawodników Aarhus. Tobias Bech z dużą łatwością wbiegł i z ostrego kąta pokonał Mateusza Lisa. Goście złapali wiatr w żagle, a w „szesnastce" Kolejorza robiło się bardzo gorąco.

Mistrzowie Polski mieli kłopoty, a Luis Palma mógł ich w nich wybawić, ale z kilku metrów fatalnie przestrzelił nad poprzeczką. Pod koniec pierwszej połowy skrzydłowy próbował jeszcze z rzutu wolnego, ale... ponownie nie trafił w światło bramki. Poznaniacy schodzili do szatni z jednobramkową stratą, a spotkanie rozpoczęli całkiem dobrze. Otrzymali nawet rzut karny, ale sędzia po VAR-ze zauważył, że piłka najpierw odbiła się od uda zawodnika AGH i dopiero trafiła w rękę.

Poznań, mamy problem!

Frederiksen na początku drugiej połowy mógł drugi raz żałować wystawienia Gumnego, który sprokurował rzut karny. 28-latek ewidentnie zagrał ręką, ale zdziwiony pytał arbitra za co... Do piłki podszedł Kristian Arnstad i pokonał Lisa, który był bardzo blisko obrony. W Poznaniu zrobiła się już bardzo, bardzo gorąco.

Lechici, będąc blisko skompromitowania się, próbowali odpowiedzieć. Palma ponownie strzelał z rzutu wolnego, ale świetnie obronił bramkarz AGF. Ponownie ręką zagrał jeden z mistrzów Danii, ale sędziowie prawdopodobnie uznali, że była nabita ze zbyt bliskiej odległości.

Na kwadrans przed końcem Poznań zamilkł na kilkanaście sekund. Eric Kahl dośrodkował z rzutu rożnego, a rosły Frederik Tingager głową odrobił straty w dwumeczu. Totalna kompromitacja Lechitów, którzy na stojąco próbowali dograć tę rywalizację. W zasadzie mistrzowie Polski mogli się cieszyć, że dotrwali do dogrywki, bo w zespole nie funkcjonowało dosłownie nic.

Koniec marzeń...

Początek dodatkowego czasu należał do gospodarzy. Bramkarz Aarhus odbił strzał Michała Gurgula, a skuteczną dobitkę zanotował Filip Jagiełło. Radość nie trwała jednak zbyt długo, bo wpuszczony Tomas Kristjansson uderzył po dalszym słupku i po błędzie Lisa piłka znalazła się w siatce.

Więcej goli w dogrywce nie padło, więc sędzia zarządził rzuty karne. W konkursie jedenastek doszło do kompletnej katastrofy mistrzów Polski. Co prawda najpierw nie strzelił kapitan AGH Arnstad, ale po stronie gospodarzy były potem dwie nieudane próby Allayhara Sayyadmanesh i Antoniego Kozubala. Tym samym Kolejorz odpadł z eliminacji do Ligi Mistrzów! To, co wydawało się wręcz niemożliwe, stało się faktem. Wstyd, żenada, kompromitacja...

Miłosz Cebo

II RUNDA ELIMINACJI LIGI MISTRZÓW

■ **Lech Poznań – Aarhus GF 1:4 (0:1, 0:3) 3-4 w karnych. W pierwszym meczu 4:1.**
0:1 – Bech, 32 min, 0:2 – Arnstad, 55 min, 0:3 – Tingager, 75 min, 1:3 – Jagiełło, 95 min, 1:4 – Kristjansson, 100 min
LECH: Lis – Gumny (81. Pereira), Mońka, Yegbe, Gurgul – Murawski (98. Thordarson), Kozubal – Walemark (88. Hakans), Rodriguez (81. Jagiełło), Palma (68. Sayyadmanesh) – Ishak (88. Agnero). Trener Niels FREDERIKSEN.
AGH: Hedenstad – Jensen-Abbew (60. Storch), Tingager, Kahl (90+3. Camara) – Emmery (97. Kristjansson), Jonsson (70. Carstensen), Knudsen, Arnstad, Anderson (97. Serra) – Bogere (70. Tchamche), Bech. Trener Jakob POULSEN.
Sędziował Juxhin Xhaja (Albania). **Widzów** 36 215. **Żółte kartki**: Kozubal, Agnero – Bogere, Anderson, Emmery, Camara.

Z podniesioną głową

Znakomity mecz w Zabrzu! Niewiele brakło, żeby Górnik doprowadził do dogrywki z faworyzowanym Fenerbahce.

ELIMINACJE LIGI MISTRZÓW

Zabrzanie niespodziewanie zaczęli bez swojego asa w ofensywie, Maksyma Chłania, który znalazł się tylko wśród rezerwowych. Nie licząc początku przygody z górniczym klubem, co przypada na sierpień zeszłego roku, Ukrainiec rzadko nie zaczynał meczów od początku. Teraz jego miejsce na skrzydle zajął Taofeek Ismaheel. Goście z Turcji wystąpili natomiast z awizowanym wcześniej w wyjściowym zestawieniu Marco Asensio, byłą gwiazdą Realu Madryt.

Trafienie w doliczonym czasie

Zaczęło się od niecelnych strzałów Irfana Can Kahveci oraz Erika Janży z drugiej strony i nerwowych minut – fauli, niesportowego zachowania, głównie zawodników zespołu wicemistrza Turcji. Co do gry, to ta była wyrównana. Po kilku minutach nastąpiła przerwa i zaczęły się dyskusje piłkarzy z belgijskim arbitrem. Nikt nie wiedział, o co chodzi do momentu, kiedy Lothar D'Hondt podbiegł do monitora i... wskazał na jedenasty metr! Chodziło o niezauważone przez nikogo – z wyjątkiem sędziów VAR – nieprzepisowe zatrzymywanie przez Lukasa Sadilka kapitana F. Bahce, Milana Skriniara. To był zapaśniczy chwyt i zupełnie niepotrzebne zagranie czeskiego pomocnika, który przecież gra raczej rozsądnie. Tym razem się jednak nie popisał... Jedenastkę na prowadzenie dla tureckiej drużyny pewnie zamienił strzelec zwycięskiego gola w Stambule, Anderson Talisca. W tym momencie do awansu potrzeba było Górnikowi aż trzech goli. Po bramce kolejna przerwa, bo zabrzańska „Torcida" zadymiła racami stadion. Pierwsza połowa została przedłużona aż o 10 minut.

Przed upływem drugiego kwadransa celnie i mocno z wolnego uderzał aktywny kapitan Erik Janża, ale Mert Gunok nie dał się pokonać. Potem groźnie, tyle że niecelnie strzelał Ismaheel, a piłkę po mocnym strzale Erika Prekopa turecki golkiper sparował na rzut rożny. Zabrzanie z całego serca starali się odrobić straty i walczyli, niesieni dopingiem kibiców. Na boisku nie było widać, że zawodnicy Fener przewyższają Górników wartością o ponad 300 mln euro. Wicemistrz Polski grał dobrze, starając się za wszelką cenę wyrównać. Już w doliczonym czasie nieźle przymierzył Maximilian Dietz, ale skończyło się znowu tylko rożnym. Zaraz potem bomba Janży i ponownie Gunok! Wyrównująca bramka dla Górnika wisiała na włosku i w dziewiątej minucie doliczonego czasu futbolówka w końcu wpadła do siatki – wpakował ją tam Michal Sacek! 1:1 do przerwy. To była dobra połowa w wykonaniu wicemistrza Polski (strzały na bramkę do przerwy 4:1 dla drużyny z Zabrza).

Było blisko...

Zaraz po przerwie przyjezdni zrobili podwójną zmianę – na boisku pojawił się m.in. pozyskany latem za 39 mln euro Mason Greenwood. Górnicy oddali inicjatywę rywalowi, czekając na kontry. Piłkarze Fenerbahce, jak u siebie w Stambule przed tygodniem, długo utrzymywali się przy piłce, tyle że bez konkretnych efektów pod bramką Philippa Schulze.

Zaraz po wejściu na murawę pokazał się Chłań. Huknął z kilkunastu metrów, ale Gunok znowu dobrze interweniował. Zaraz potem bomba Sacka. Piłkarze Górnika doskoczyli do sędziego, bo wydawało się, że futbolówka zahaczyła o rękę gracza F. Bahce. Belg jednak pokazał tylko żółtą kartkę Rafałowi Janickiemu za protesty...

Gra zespołu trenera Gasparika znowu zaczęła nabierać rozpędu! Pomagało też wsparcie prawie 30 tysięcy kibiców. W 76 minucie wypalił debiutujący w Górniku Peter Federico – za słabo jednak, żeby zaskoczyć bramkarza reprezentacji Turcji. Czas leciał, a zmiany wyniku nie było. Jeszcze raz strzelił starający się pokazać Chłań, tyle że niecelnie. Końcówka to gra na połowie drużyny ze Stambułu, ale wyrównać gospodarzom się nie udało. W tej sytuacji wicemistrz i zdobywca Pucharu Polski „spadł" do Ligi Europy, gdzie w trzeciej rundzie zmierzy się z wygranym z pary Ferencvaros - Twente. Węgrzy przed tygodniem na wyjeździe wygrali w Holandii 2:1. Turcy w kolejnej rundzie Champions League zmierzą się ze Sturmem Graz.

Michał Zichlarz

II RUNDA ELIMINACJI LIGI MISTRZÓW

■ **Górnik Zabrze – Fenerbahce SK 1:1 (1:1)**
0:1 – Talisca, 12 min (karny), 1:1 – Sacek, 45+9. min
GÓRNIK: Schulze – Sacek, Janicki, Josema, Janża – Ismaheel, Dietz (63. Chłań), Sadilek (81. Durdov), Urbański, Ikia Dimi (72. Peter) – Prekop (63. Liseth). Trener Michal GASPARIK.
FENERBAHCE: Gunok – Semedo (87. Muldur), Ake, Skriniar, Oosterwolde – Akturkoglu (70. Musaba), Guendouzi, Fred, Asensio (46. Yuksek), Kahveci (46. Greenwood) – Talisca (80. Aydin). Trener Ismall KARTAL.
Sędziował Lothar D'Hondt (Belgia). **Widzów** 28 499 (komplet). **Żółte kartki**: Sadilek, Janża, Janicki, Josema - Oosterwolde, Semedo, Greenwood.
Pierwszy mecz 0:1. Awans do III rundy eliminacji LM Fenerbahce.



Fot. Jarek Praszkiewicz / PAP

Gospodarze postawili się tureckiej drużynie. W środku Michal Sacek, strzelec gola na 1:1.

Sport 336cfef57a

Pragmatyzm i dojrzałość

Trener GieKSy zdaje sobie sprawę z siły Żyliny, która w czwartek przyjedzie do Katowic bronić jednobramkowej przewagi.

GKS KATOWICE

Przed GKS-em Katowice zadanie odrobienia jednobramkowej straty po pierwszym meczu drugiej rundy eliminacji Ligi Konferencji. MSK Żylina u siebie wygrała 2:1. Teraz GieKSa będzie miała 90 minut na to, żeby odwrócić losy rywalizacji. Czy planem na spotkanie będzie szybkie zdobycie gola, żeby błyskawicznie odrobić straty? - Plan polega na tym, aby być uważnym na to, co przeciwnik może zrobić. Musimy być dobrze zabezpieczeni. Musimy być pragmatyczni, dojrzali. Nie chodzi o to, żeby w pierwszych 15 minutach oszaleć i mówić sobie, że musimy zdobyć gola. Mamy plan na mecz. Jest on bardzo dobrze przygotowany i teraz pozostaje tylko realizacja – odpowiedział trener GKS-u Katowice Rafał Górak. W poprzednim spotkaniu w Żylinie jego zespołowi udało się trafić do siatki już w 6 minucie, ale prowadzenia nie udało się utrzymać.



Fot. PAP / Jarek Praszkiewicz

Bartosz Nowak (z lewej) i Rafał Górak odpowiadali w środę na pytania dziennikarzy.

Wymagający rywal

Czy po pierwszej odsłonie dwumeczu sztab szkoleniowy GieKSy zyskał nowe spojrzenie na to, jak gra słowacki przeciwnik? – Wiedza o rywalu przed pierwszym spotkaniem była zbliżona do tego, co w Żylinie się działo. Wiemy, że to drużyna, która ma grupę dobrze wyselekcjonowanych, często młodych piłkarzy. Jest to zespół utalentowany, grający intensywnie. I na to musimy uważać, ponieważ ta intensywność przeciwnika przez 90 minut będzie na bardzo wysokim poziomie. Pod tym względem to drużyna prezentująca standardy europejskie – stwierdził trener. Średnia wieku składu Żyliny, jaki wyszedł na mecz z GKS-em, wynosiła nieco ponad 23 lata. To zespół bardzo młody i taka jest polityka klubu. Młodość kadry nie musi być jednak wadą drużyny Pavola Stano. Nieprzypadkowo zespół ten znalazł się w europejskich pucharach i dobrze zaprezentował na tle GKS-u. - Trafiliśmy na wymagającego rywala w pierwszej rundzie i cieszę się z tego. To daje nam pogląd na to, w jakim miejscu jesteśmy. Żylina w ostatnich dziesięciu latach rozegrała 36 meczów w europejskich pucharach. To jest ogromne doświadczenie i ogromna siła. W ciągu ostatnich dziesięciu lat z Żyliny odeszli piłkarze warci około 40 milionów euro. A do tego dochodzą bonusy, który wpłynęły do klubu z kolejnych transferów. Jakub Kiwior przyszedł do Żyliny, potem poszedł do Arsenalu, a dziś gra w Porto. To wpływa na walory finansowe klubu. Dla mnie rywalizacja z tak mocnym klubem jest wyzwaniem i bardzo się cieszę, że jesteśmy w takim momencie. Zagramy drugi mecz w europejskich pucharach, a 23 lata w ogóle nas nie było na tym poziomie. Osiągnęliśmy bardzo dużo, ale mamy apetyt na to, żeby grać w następnej rundzie i zrobimy wszystko, żeby tak się stało – wytłumaczył trener Górak, którego sztab szkoleniowy otrzymał w minionym weekend kolejny materiał do analizy rywala. MSK Żylina na swoim stadionie w pierwszej kolejce ligowej zremisowała z FC Koszyce 4:4. Co ciekawe, dzięki zwycięstwu przeciwko temu rywalowi w maju w finale Pucharu Słowacji, ekipa Pavola Stano dostała się do europejskich pucharów.

Nosiło, nosi i będzie nosić

W środę poza trenerem Górakiem z przedstawicielami mediów spotkał się także lider drużyny Bartosz Nowak. Zapytaliśmy ofensywnego pomocnika o to, jak bardzo ważny w czwartkowym meczu będzie fakt, że GieKSa po ponad dwóch miesiącach przerwy powraca na Nową Bukową, na stadion, na którym przez całą wiosnę sezonu 2025/26 nie przegrała ani jednego meczu. - Cieszymy się na myśl o meczach u siebie. Cieszymy się z tego, jak wyglądało ostatnie pół roku przy Nowej Bukowej. Czujemy się tutaj dobrze, kibice wypełniają stadion praktycznie do ostatniego miejsca, jest świetna atmosfera. To nas niosło i będzie nosić dalej. Dobrze, że ten ważny rewanż odbędzie się na naszym terenie – podkreślił 32-latek, dla którego będzie to 14. mecz w karierze w europejskich pucharach, licząc te eliminacyjne oraz pięć starć w fazie grupowej Ligi Europy w sezonie 2023/24, gdy grał w Rakowie.

Kacper Janoszka

Kto w środku pola?

Z dwóch ważnych pomocników nie będzie mógł skorzystać Rafał Górak w rewanżu z MSK Żylina.

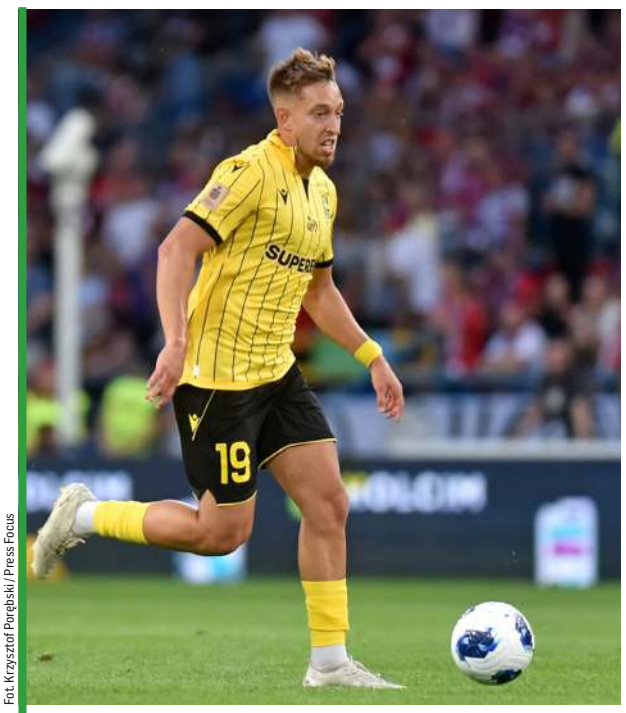
Przed rewanżowym meczem z MSK Żylina kibice GKS-u Katowice zapewne zastanawiają się, kto znajdzie się w wyjściowym składzie ekipy Rafała Góraka w środku pola. W Żylinie, podczas przegranego 1:2 spotkania, duet środkowych pomocników tworzyli Jesse Bosch oraz Sebastian Milewski. W 58 minucie zszedł Milewski i zastąpił go Kacper Łukasiak, a w 73 minucie za Boscha wszedł Bartosz Wolski. Z kolei w niedzielę w ligowej rywalizacji z Wisłą Kraków (1:2) w pierwszym składzie wystąpili Łukasiak i Wolski, a Milewski z Boschem przesiedzieli cały mecz na ławce. W kadrze meczowej w obu spotkaniach zabrakło miejsca dla Mateusza Kowalczyka oraz Damiana Rasaka. Ten pierwszy doznał urazu podczas okresu przygotowawczego, ale powrócił do treningów z zespołem. Nie zagra jednak w czwartkowym rewanżu z Żyliną z dwóch powodów. Po pierwsze – niedawno powrócił do zajęć. Po drugie – nie został zgłoszony do kadry na dwumecz z Żyliną. Rasak z kolei jest końcowej fazie rehabilitacji po zabiegu artroskopii kolana. Pewne jest więc jedno – trener Rafał Górak będzie wybierał pomiędzy Milewskim, Łukasiakiem, Boschem i Wolskim.

Jeden mecz przez pół roku

Najciekawszy wydaje się przypadek Łukasiaka, który dołączył do GieKSy przed poprzednim sezonem. Rozgrywki 2025/26 rozpoczął w pierwszym składzie, w czym pomogła mu kontuzja Milewskiego. Z czasem jednak grał coraz rzadziej, aż w końcu był daleko w hierarchii pomocników za Milewskim, Kowalczykiem i Rasakiem, a zapewne wyprzedzałby go także Bosch, gdyby nie nabawił się urazu. Z tego powodu w rundzie wiosennej Łukasiak zagrał zaledwie w jednym meczu, będąc na boisku przez 17 minut starcia z Lechem Poznań (3:3). Teraz były zawodnik Pogoni Szczecin, przez kontuzje dwóch kolegów z zespołu, wszedł z ławki w meczu eliminacji do Ligi Konferencji, a także grał przez 90 minut w ligowym meczu z Wisłą Kraków. A już podczas sparingów przedsezonowych widać było, że może pełnić znacznie ważniejszą rolę w drużynie niż przez ostatnie pół roku.

Ma tę moc

- Czuję w sobie chęć pokazania się z jak najlepszej strony. Za mną bardzo dobry okres przygotowawczy. Czuję się po prostu mocny. Cieszę się, że dostałem w niedzielę szansę. Oczywiście nie cieszy mnie porażka, bo u mnie na pierwszym miejscu zawsze jest drużyna. Natomiast indywidualnie będę dawał z siebie jak najwięcej, żeby pomóc drużynie w osiąganiu założonych celów, żebyśmy dawali radość wszystkim naszym kibicom – powiedział w rozmowie ze „Sportem" Kacper Łukasiak, który czeka na to, żeby znów móc wystąpić przy Nowej Bukowej. Po raz ostatni na stadionie w Katowicach wystąpił 11 listopada 2025 roku, gdy wszedł z ławki przeciwko swojej byłej drużynie Pogoni Szczecin. Czwartkowy mecz z MSK Żylina będzie okazją do przypomnienia o sobie kibicom ze stolicy województwa śląskiego. – Z pomocą naszych wspaniałych fanów będziemy starali się dać fajne widowisko, a przede wszystkim wygrać to spotkanie i dwumecz. Chcemy awansować do kolejnej rundy eliminacji. A jeden gol to niewielka strata do odrobienia. Ten dwumecz jest do wygrania, kibice nas poniosą do zwycięstwa. Od pierwszej minuty będziemy walczyć o to, żeby zdobyć gola, a później kolejnego! – zapewnił Łukasiak. Czy otrzyma szansę gry, czy może trener Rafał Górak postawi na inny zestaw środkowym pomocników?


Fot. Krzysztof Porębski / Press Focus

Kacper Łukasiak powrócił do pierwszego składu po wielu miesiącach oczekiwania.

Kacper Janoszka

NIE PRZEGAP!

2. runda eliminacji
Ligi Konferencji
GKS Katowice - MSK Żylina
czwartek, godz. 20.30,
TVP Sport

Nie zdradzę, co kombinujemy

Rozmowa z **Pavolem Stano**, trenerem MFK Żylina, pucharowego przeciwnika GieKSy

Gdyby miał pan porównać Żylinę, to ma pan zespół na środek tabeli polskiej ekstraklasy?

- Myślę, że tak. Nie mówię o pierwszej i drugiej pozycji, ale graliśmy sparingi wiosną z Górnikiem Zabrze czy latem z Lechem Poznań i powiem tak – być może do tego poziomu czegoś nam jeszcze brakuje, ale wszystko, co jest w polskiej lidze pod tymi drużynami, bylibyśmy w stanie ogarnąć.

Słowacka piłka też powoli idzie do przodu, jednak do „braci" Czechów wciąż wam trochę brakuje?

- Czeska piłka ma pieniądze, ma więcej mocnych drużyn, jest podobna poziomem do polskiej ekstraklasy. Słowacka piłka generalnie idzie krok po kroku do przodu, ale na przykładzie Żyliny widać, że jak się tylko ktoś wypromuje, to natychmiast wyfruwa z gniazda. Zresztą w Polsce macie podobnie. Gdybyśmy zostali w tym składzie, jak zaczynaliśmy poprzedni sezon, to myślę, że bylibyśmy w czubie słowackiej ekstraklasy. Na dziś ze słowackich drużyn tylko Slovan Bratysława jest na konkurencyjnym poziomie do czołowych czeskich zespołów.

To teraz porozmawiajmy o Lidze Konferencji. GieKSa czymś zaskoczyła w pierwszym meczu, bo wydaje mi się, że mieliście bardzo dobrze rozpracowanych Katowiczan?

- Informacje, jakie pozbieraliśmy na temat GKS-u i potem ułożyliśmy sobie jedna po drugiej, były bardzo trafione. Dały nam pozytywny wynikowo efekt. Wiedzieliśmy, że GieKSa ma większą liczbę zawodników do dyspozycji, więc trener Rafał Górak ma szersze od nas możliwości rotowania składem. My tylu piłkarzy o europejskim poziomie w kadrze nie mamy. Mamy wielu młodych chłopców, których musimy jeszcze ogrywać. Z tego powodu nasz potencjał, nasze zdolności są okrojone. Jeszcze podstawową jedenastką jesteśmy w stanie konkurować, jak chociażby z GKS-em u siebie, natomiast bez szerokiej ławki trudno będzie o dobre wyniki na wyższym levelu w europejskich pucharach.

Przede wszystkim udało wam się wyłączyć z gry lidera Katowic, Bartosza Nowaka. Jak to zrobiliście?

- To bardzo dobry zawodnik „momentu", potrafiący jednym niekonwencjonalnym zagraniem uruchomić „zabójczą" akcję. Daje mnóstwo jakości drużynie, więc byliśmy bardzo mocno na nim skoncentrowani. Zawodnika z takim potencjałem ciężko jest upilnować, więc nasza uwaga musiała być na nim maksymalnie skupiona przez całe spotkanie.



Fot. Tomasz Błaszczyk / Press Focus

Trener Pavol Stano bardzo mocno przeżywał mecz w Żylinie.

No i udało się, bo Nowak zagrał jeden ze słabszych meczów, odkąd jest w Katowicach...

- Wyszedł nasz pomysł na zneutralizowanie gwiazdy GKS-u, ale za nami jest dopiero pierwsza połowa dwumeczu. Nie możemy o tym zapomnieć, jednak wierzę, że w drugiej połowie, jeśli tak mogę nazwać aktualny stan rywalizacji, będziemy tak samo skuteczni, jak byliśmy od pewnego momentu w Żylinie.

Czyli obstawimy szanse słowacko-polskiej rywalizacji na 60 do 40 procent dla Żyliny?

- Nie podpuści mnie pan na taką zabawę (śmiech). Takie obliczanie szans nie ma większego sensu. Ważne jest to, co się będzie działo na boisku. W tym momencie szanse są równe - 50 na 50, ponieważ my mamy gola w zapasie, a GieKSa gra u siebie w domu, przy swoich fantastycznych kibicach. Natomiast prawda jest też taka, że nam ta bramka przewagi dała wiarę w to, co robimy. To ważny aspekt tej rywalizacji.

Mówi się, że Żylina jest mocniejsza u siebie, za to dużo słabiej wyglądacie na wyjazdach? Zgodzi się pan z taką opinią?

- Nie do końca. Graliśmy bardzo fajne wyjazdowe mecze przeciwko Spartakowi Trnawa, Slovanowi Bratysława, Dunajskiej Stredzie, więc w tym elemencie się mocno poprawiliśmy. Poza tym mecz meczowi nie jest równy. To był dopiero początek sezonu, nie byliśmy w pierwszym meczu z GieKSą jeszcze tak dobrze nastrojeni, jak powinniśmy, dlatego cieszę się, że tak dobrze zareagowaliśmy na prowadzenie GieKSy, odbijając wynik. Wierzę, że mamy duże szanse skutecznie powalczyć o awans na Bukowej i zrobimy wszystko, by tak się stało. Nie chcemy zmarnować szansy, tym bardziej, że pierwsze spotkanie zakończyło się bardzo pozytywnym wynikiem dla nas, choć długo się na to nie zanosiło.

Czym zaskoczy pan trenera Góraka?

- Tego naturalnie nie zdradzę. Wiadomo, każdy trener robi analizy rywali, kombinuje, jak zaskoczyć przeciwnika. My też coś przygotowujemy na rewanż. Ale o tym cisza przed meczem.

Jak wyglądają wasze przygotowania do rewanżowego meczu w Katowicach?

- Trochę są niestandardowe. GieKSa nie trenowała u nas. My chcemy potrenować na stadionie GKS-u, dlatego do Katowic przyjedziemy dzień wcześniej. Chcemy zagrać u was dobry mecz, wygrać i grać dalej w pucharach. Czy tak będzie? Zobaczymy. Wiadomo, jak cienka jest granica między sukcesem a porażką. Ale my patrzymy tylko do przodu.

Rozmawiał
Zbigniew Cieńciała

Mogą być karne, byle była wygrana

Mirosław Widuch wspomina najbardziej emocjonujące mecze Katowiczan w europejskich pucharach.

GKS KATOWICE

Podczas 12 lat gry w GKS-ie Katowice Mirosław Widuch zapracował na miano ikony klubu. Do 313 występów w ekstraklasie defensywny pomocnik dorzucił jeszcze blisko setkę spotkań w Pucharze Polski, Superpucharze oraz europejskich pucharach.

- Gdy jako 21-latek trafiłem do GKS-u Katowice praktycznie od razu, po kilku meczach ligowych, zostałem rzucony na głęboką wodę – wspomina 54-latek. – W Pucharze Zdobywców Pucharów wylosowaliśmy bowiem Benfikę, a pierwszy mecz przyszło nam rozegrać na Estadio da Luz. To było niesamowite przeżycie, a do dzisiaj, gdy sobie przypomnę, jak grał Rui Costa, który po boisku poruszał się jak sarenka i wszystko widział, to z podziwu kręcę głową. Wtedy też kręciłem, próbując za nim nadążyć, bo pomocnik mający 94 występy w reprezentacji Portugalii był niemal wszędzie. Zresztą takich gwiazd w zespole gospodarzy było więcej, a my... toczyliśmy z nimi boje jak równy z równym! Mądrze się broniliśmy i kontratakowaliśmy. Nawet Adam Kucz strzelił gola, którego sędzia nie uznał, odgwizdując spalonego, a myślę, że gdyby obowiązywał VAR, to bramka zostałaby uznana. Przegraliśmy 0:1, a w rewanżu odrobiliśmy stratę po trafieniu Adama Kucza, a w dodatku Darek Wolny miał okazję na podwyższenie. Przestrzelił jednak i do dzisiaj, gdy się spotykamy, to mu to wypominamy w żartach. Kolejny reprezentant Portugalii Vitor Paneira doprowadził jednak w drugiej połowie do remisu i odpadliśmy.

Karne z Arisem

Największych emocji, ale i radości zarazem dostarczył jednak następny sezon. Jesienią 1994 roku GieKSa po wyeliminowaniu w rundzie kwalifikacyjnej Pucharu UEFA walijski zespół Inter Cardiff doszła aż do 1/8 finału.

- Wszyscy wspominają oczywiście wyeliminowanie Bordeaux z Zidanem w składzie, ale ja z tego okresu mam inne wspomnienia – dodaje człowiek o „podwójnych płucach". – Może dlatego, że z Francuzami zagrałem tylko na Bukowej, bo później miałem operację łąkotki i w rewanżu już nie uczestniczyłem. Zanim jednak zagraliśmy z Bordeaux, mieliśmy niesamowitą przeprawę z Arisem Saloniki i to był najbardziej emocjonujący mecz w mojej pucharowej przygodzie. Po golu Krzyśka Maciejewskiego z karnego wygraliśmy u nas 1:0, a w rewanżu Grecy zaraz po przerwie odrobili stratę. Po 180 minutach gry było więc remisowo, a dogrywka też nie przyniosła rozstrzygnięcia, więc o awansie zadecydowały rzuty karne. Zaczęliśmy je fatalnie, bo Krzysiek Maciejewski w pierwszej serii spudłował. Jednak w czwartej kolejce Janusz Jojko obronił, a w piątej Grek strzelił obok słupka i nasz bramkarz – strzelając jako ostatni, przypieczętował nasz awans.

Fusy zalane wrzątkiem

W sumie na koncie Mirosława Widucha jest 12 europejskich występów. Ma więc co wspominać zasiadając na trybunie honorowej nowego stadionu.



Fot. GKS Katowice

Mirosław Widuch wystąpił w 12 europejskich pucharowych meczach GieKSy.

- Spotykamy się w sumie z niewielką grupką byłych piłkarzy GieKSy. Darek Grzesik, Jarek Tkocz, Adam Kucz i Darek Wolny oraz ta starsza generacja, czyli Franek Sput, Piotr Piekarczyk, Leszek Olsza, Jurek Wijas i masażysta Wojtek Spałek. Wspominamy, żartujemy, śmiejemy się... Wracają te chwile, w których przed meczami wchodził do szatni gospodarz, niosąc na tacy kawę, taką typową, czyli fusy zalane wrzątkiem. To był nasz „doping". Wypijaliśmy i ruszaliśmy do boju. Teraz piłkarze piją już coś innego przed meczem, ale myślę, że na tym paliwie GieKSa przejdzie do następnej rundy. Czyli bez fusów, ale do przodu. Może być dogrywka, mogą być karne, byle wygrane...

Jerzy Dusik

Sport 336cfef57a

Dobry piłkarz jest drogi

Rozmowa ze **Sławomirem Peszką,** 44-krotnym reprezentantem Polski, wiceprezesem ds. sportowych Wieczystej Kraków

Był pan piłkarzem i trenerem, a teraz skupia się na budowaniu kadry beniaminka ze sporymi aspiracjami. Okres transferowy bardzo pana męczy?

- Nie, ponieważ zostałem do niego dobrze przygotowany przez dział skautingu. Większość celów z naszej listy udało się zrealizować. Może nie tych z numerem jeden, ale generalnie jesteśmy zadowoleni. Oczywiście okienko jeszcze trwa, więc cały czas pracujemy.

Dlaczego zawodnicy traktowani priorytetowo nie trafili do klubu?

- Jeszcze byli poza naszym zasięgiem. Trzeba pamiętać, że choć nasz klub jest coraz bardziej rozpoznawalny, to dobry piłkarz zawsze będzie drogi. Zagraniczni zawodnicy wiedzą, dokąd trafiają, znają ekstraklasę. Zgłasza się coraz więcej agentów i dużych agencji.

Chcecie wygrywać wyścig, przebijając oferty innych klubów, czy macie jeszcze inne mocne argumenty?

- Pokazujemy zawodnikom cały projekt. Mówimy o stabilności finansowej klubu, o tym, że gramy w ekstraklasie, w fajnym mieście, na stadionie Wisły, który wynajmujemy i na który może przychodzić dużo kibiców. Dla wielu piłkarzy ważne jest też to, że na polskim rynku mogą się wypromować przed kolejnym transferem.

Dlaczego przegraliście w Radomiu?

- Czujemy niedosyt. Za bardzo bojaźliwie i nerwowo weszliśmy w mecz. Później uspokoiliśmy, wyrównaliśmy grę i trochę lepsi byliśmy w ataku pozycyjnym. Ale co z tego, skoro straciliśmy bramkę? Po raz kolejny wyszła też niefrasobliwość przy stałych fragmentach. Mimo to jestem optymistą przed kolejnymi spotkaniami.



Sławomir Peszko odbiera gratulacje za awans i pracuje nad tym, żeby drużyna miała jak najmocniejszy skład.

Przeciwko Radomiakowi nie mógł zadebiutować skrzydłowy Christopher Lungoyi. Jego sprawa została już rozstrzygnięta na waszą korzyść?

- Zawodnik został zarejestrowany i będzie mógł grać, co jest dla nas bardzo ważne.

Nie boicie się, że będzie jeszcze ciąg dalszy ze strony Turków? Władze Gaziantepu grzmieli, że piłkarz bezprawnie zawarł z wami umowę.

- Przed podpisaniem kontraktu analizowaliśmy całą sytuację z naszymi prawnikami i z prawnikami zawodnika. Jesteśmy spokojni. Oczywiście poprzedni klub może próbować dochodzić swoich praw, ale to nie jest już nasza kwestia.

Początkowo chcieliście zapłacić za Lungoyiego. Turcy to potwierdzili, jednak przekonywali, że mieli lepsze propozycje na stole.

- W grudniu złożyliśmy ofertę, ale nie dostaliśmy odpowiedzi. Przez całą rundę wiosenną obserwowaliśmy zawodnika i doszliśmy do wniosku, że będziemy się kontaktować z nim, skoro klub nie odpowiadał.

Ma zadatki na gwiazdę ligi? Wszyscy mówią o dużych możliwościach.

- Nie wiem, natomiast ma potencjał, żeby być gwiazdą. Na pewno ma łatwość wygrywania pojedynków. Ekstraklasa niejednemu piłkarzowi pokazała, że można się sparzyć. Niektórzy chcieli ją zawojować, a później musieli wyjechać, jak Sam Greenwood (z Pogoni Szczecin - przyp. red.).

Jaką taktykę obraliście na dalszą część okienka? Zamierzacie poczekać z kolejnymi ruchami do czasu rozegrania kilku meczów, by zobaczyć, czego jeszcze brakuje drużynie Kazimierza Moskala, czy działacie już teraz?

- Mam nadzieję, że do piątku uda się dopiąć dwa transfery. Dopóki nic nie jest podpisane, nie chcę mówić o szczegółach.

Tobias Christensen przychodził jako ofensywny pomocnik, a Moskal – mając tłok w środku – znalazł mu miejsce na skrzydle. Może się tam sprawdzić?

- Bardzo szkoda. Jego naturalną pozycją jest „dziesiątka". Może również grać na „ósemce", zwłaszcza po prawej stronie, schodząc do lewej nogi. Jestem o niego spokojny. Zresztą już to robił w sparingach, a ja wielokrotnie widziałem go na żywo i wiem, co potrafi.

Zaskoczyliście pozyskaniem Matusza Vojtki z Lechii Gdańsk, która traciła wiele goli. Tymczasem na starcie sezonu wygrał rywalizację z Kamilem Pestką o miejsce na lewej obronie.

- Nie wszystkie stracone gole Lechii zawalił Vojtko! Nie ma idealnego dośrodkowania i to się potwierdziło. Natomiast to bardzo intensywnie, agresywnie i dynamicznie grający piłkarz w pierwszej tercji boiska, na swojej połowie. To inny typ zawodnika niż Pestka, który potrafi dać więcej w ofensywie. Vojtko jest lepszy w działaniach defensywnych.

Antonio Milić nie był planowany do gry w 1. kolejce, ale musiał wejść po dwóch szybko obejrzanych żółtych kartkach przez środkowych obrońców. Poradził sobie bardzo dobrze. Jak udało się sprowadzić gracza, który zdobył mistrzostwo z Lechem Poznań?

- Skontaktowaliśmy się z nim od razu po tym, jak Lech ogłosił, że nie doszli do porozumienia i odchodzi. Rozegrał kilkanaście sezonów na wysokim poziomie i tutaj z naszej strony nie było marginesu błędu. Trenował dwa tygodnie i nie był przygotowany na 90 minut, ale wszedł, bo sytuacja tego wymagała. Rozważamy jeszcze wzmocnienie środka obrony, ale nie jest to nasz priorytet.

Skoro już jesteśmy przy stoperach. Ma pan kontakt z Michałem Pazdanem? Był niepocieszony, że z niego zrezygnowaliście, liczył, że podsumuje swoją karierę występami w ekstraklasie w barwach Wieczystej.

- Nie chciałbym już wracać do tego tematu... Rozstania w piłce nigdy nie są łatwe. Jak się z klubu odchodzi i nie jest to duży transfer, to pojawia się rozczarowanie. Zaproponowaliśmy Michałowi pozostanie przy klubie w innej roli po zakończeniu kariery. Jestem przekonany, że poradzi sobie w życiu.

W sobotę meczem z Lechem Poznań - pana byłym klubem, zadebiutujecie w ekstraklasie jako gospodarz na stadionie Wisły. Czuć presję? Jest dużo pracy organizacyjnej?

- Wychodzą różne małe rzeczy. Na przykład nasze chorągiewki nie mają zaczepów do kamer, które stacja Canal+ potrzebuje do transmisji. Dochodzą kwestie zapewnienia bezpieczeństwa, mamy swojego kierownika. Zatrudniliśmy bardzo dużo osób do organizacji meczów: do brandingu, ochrony, cateringu, marketingu, a także hostessy. O wszystko zadbaliśmy, a jak wyjdzie w praniu, to się okaże. Mogą pojawić się drobne niedociągnięcia. Na baraże przyszło 6–7 tysięcy widzów i wszystko było w porządku.

Jaka frekwencja pana zadowoli w ekstraklasie?

-Jeśli będzie przychodzić tyle osób, ile było na spotkaniach z Polonią Warszawa i Chrobrym Głogów, to będzie super.

Rozmawiał i notował
Michał Knura

KRÓTKA PIŁKA

CRACOVIA

BOŚNIAK ZOSTAJE

■ Krakowski klub poinformował o przedłużeniu kontraktu Ajdinem Hasiciem do 2028 roku. W sezonie 2025/26 pomocnik z Bośni i Hercegowiny zaliczył 27 meczów ekstraklasy, siedem razy wpisując się na listę strzelców. 24-latek słynie również z dobrego ostatniego podania – do goli dołożył pięć asyst.

WIDZEW

PODNIEŚLI KAPITAŁ

■ Podczas walnego zgromadzenia akcjonariuszy władze łódzkiego klubu podjęły decyzję o podwyższeniu kapitału zakładowego spółki poprzez emisję nowych akcji. Wyemitowane akcje objął Robert Dobrzycki za pośrednictwem spółki RD Sports Sp. z o. o. Aktualnie posiada ona 93,3 procent wszystkich akcji Widzewa.

LECHIA

PODREPEROWAĆ FINANSE

■ Sprzedaż Kacpra Sezonienki do Hellasu Werona ma pomóc nieco ustabilizować mocno rozchwiane finanse gdańskiego klubu. Włosi mają być poważnie zainteresowani pozyskaniem Polaka, a ten wkrótce ma się udać na testy medyczne do przedstawiciela Serie B (Hellas podobnie jak Lechia spadł w poprzednim sezonie). 23-latek w poprzednim sezonie zdobył pięć goli w ekstraklasie, dokładając do tego cztery asysty.

TURCJA

PISTACJOWY BRAMKARZ

■ Kacper Tobiasz najbliższy sezon spędzi w barwach klubu z Gaziantep – miasta znanego z pistacji i robionej z nich baklawy. Turcy poinformowali o podpisaniu trzyletniego kontraktu z byłym bramkarzem Legii. 23-latek w poprzednim sezonie 22 razy wystąpił w barwach stołecznego klubu.

PERU

TYSIĄC SPONSORÓW

■ Na nietypowy pomysł wpadli w zdegradowanym z profesjonalnych rozgrywek peruwiańskim Deportivo Municipal. Klub postanowił podzielić koszulkę na 1000 małych pól reklamowych. Każde z nich za 200 soli peruwiańskich (około 190 zł) mogli nabyć zarówno sponsorzy, jak i kibice. Wszystkie miejsca zostały wyprzedane w ciągu trzech miesięcy, a nowe koszulki prezentują się niezwykle oryginalnie.

(Raj)

Sport 336cfef57a

Legenda za życia

Ojcowie nadawali synom jego imię, na St. James Park w Newcastle - choć przecież wcale stamtąd nie podchodził - tysiące ludzi oddało mu hołd. Kevin Keegan zasłużył na wielkie słowa uznania!

ANGLIA

W ubiegły poniedziałek w wieku 75 lat odeszła jedna z wielkich gwiazd, czy raczej legend nie tylko brytyjskiego futbolu. Dla starszej generacji fanów piłki był synonimem świetności angielskiej piłki, emanacją jego najlepszej strony, bo nie mogło być inaczej. Ci, którzy przypominają sobie, jak grał, wiedzą, co piszę. Mimo niewielkiego wzrostu, bo 173 cm, w czasie grania jeszcze w systemie „kick and run", czyli kopnij i leć, na boiskach Anglii nie było łatwo, ale znakomicie dawał sobie radę w polu karnym przeciwników, oszukując obrońców i bramkarzy świetną techniką użytkową, strzałem, sprytem, szybkością i... skocznością. Nic dziwnego, że miał przezwisko „Mighty Mouse", czyli... "potężna mysz"! Jeden z dwóch synów nieżyjącego już niestety Piotra Rockiego, tak lubianego przez wszystkich, ma na imię Kevin, właśnie dla uczczenia pamięci Anglika.



Fot. „British Football" Daily Mail

Kevin Keegan (w środku) w otoczeniu Martina O'Neila i Danny'ego McGratha (z prawej).

Najlepszy Piłkarz Europy

Jak się zaczęła jego przygoda z piłką? Sięgam do opracowania „British Football" wydanego przez „Daily Mail" na początku poprzedniej dekady. „Wiedział jako sportowiec, że nie jest obdarzony jakimś specjalnym talentem. Swoją ścieżką pokazał, że piłkarska kariera może być zbudowana na ciężkiej pracy, poświęceniu i na wierze w siebie, w to co robisz. Zaskakująco mocny w powietrzu mimo małego wzrostu, do tego ze znakomitym strzałem, zawsze potrafił wykreować bramkową sytuację. Tak było podczas sześciu lat gry w Liverpool FC" – czytamy w notce poświęconej Kevinowi Keeganowi. Słynął także z długich, opadających na ramiona włosów (ówczesna moda).

Do The Reds, z którym wywalczył trzy mistrzostwa, a w 1977 triumfował także w rozgrywkach o klubowe mistrzostwo Europy, ściągnął go ze Scunthorpe United (gdzie zaczynał swoją przygodę z futbolem) słynny Bill Shankly. Kosztował 35 tys. funtów, tyle co teraz podrzędny młody piłkarz w Polsce... Kiedy Liverpool zdobył pierwszy ze swoich sześciu klubowych mistrzostw Europy, triumfując w wymienionym sezonie 1976/77, to oczywiście był najlepszym strzelcem drużyny z czterema golami. W tym samym roku przeniósł się za rekordową jak na owe czasy sumę 500 tys. funtów do Hamburger SV. Jego przejście z Wysp do Niemiec było wtedy prawdziwą sensacją, bombą transferową! Miał 26 lat i był w szczycie formy, a okres gry w portowym klubie, tak jak w ekipie z Merseyside, to pasmo kolejnych sukcesów, bramek, efektownych akcji i docenienia w piłkarskim świecie. Z HSV też zagrał w finale Pucharu Europy. Było to w maju 1980 roku w starciu z Nottingham Forest, które angielski klub wygrał w Madrycie 1:0. W ataku niemieckiego klubu występował ze świetnym Horstem Hrubeschem. Rok wcześniej Hamburger triumfował w Bundeslidze. W 1978 i 1979 roku Keegen został uznany za Piłkarza Roku Europy. Wcześniej tego zaszczytu dostąpił tylko z Anglii sir Stanley Matthews (1956) i Bobby Charlton (1966). Od czasu Keegana nikt już z angielskich graczy nie znalazł takiego uznania. Potem z powodzeniem grał jeszcze m.in. w Newcastle, z którym jako szkoleniowiec wywalczył awans do Premier League i trzecie miejsce w lidze. Pracował tam przez pięć lat. Potem był awans z Fulham na zaplecze PL, a następnie reprezentacja Anglii (1999-2000).

Opłakują go wszyscy

Właśnie reprezentacja... Jako piłkarz w ekipie Trzech Lwów wystąpił w 63 meczach, w których strzelił 21 bramek. Grał na Euro 1980 we Włoszech i na hiszpańskich MŚ dwa lata później (choć borykał się wtedy z poważną kontuzją pleców). Anglicy sukcesów tam jednak nie osiągnęli.

Jako szkoleniowcowi też nie poszło mu rewelacyjnie. Poprowadził zespół narodowy w 18 grach, w tym na EURO 2000, kiedy Anglicy nie wyszli z grupy, mimo pokonania Niemiec (po raz pierwszy od finału MŚ 1966). Zrezygnował po nieudanym starcie i porażce w pierwszym meczu w eliminacjach do azjatyckich mistrzostw świata. Potem pracował przez kilka lat w Manchesterze City, jeszcze raz w „swoim" Newcastle, żeby przed sześćdziesiątką przejść na zasłużoną emeryturę. Współpracował z mediami (ESPN, ITV), komentował to, co dzieje się w piłce. W styczniu rodzina poinformowała, że cierpi na raka żołądka. Zmarł 20 lipca i opłakuje go cała piłkarska Europa. Co oczywiste przede wszystkim kluby, którym tyle dał czyli Newcastle, Manchester City, Liverpool czy Hamburger SV. Kondolencje przesłał Książe Walii - William, który napisał że „odeszła prawdziwa piłkarska ikona". Alan Shearer, którego Keegan w lipcu 1996 sprowadził do Newcastle za rekordową na ówczesne czasy sumę 15 mln funtów, powiedział krótko. – Mój bohater. Mój trener. Mój przyjaciel. Odpoczywaj w spokoju.

Michał Zichlarz

KEVIN KEEGAN

- **Data urodzenia:** 14 lutego 1951 r.
- **Data śmierci:** 20 lipca 2026 r.
- **Pozycja na boisku**: napastnik
- **Kariera piłkarska**: Elmfield House YC, Scunthorpe United, Liverpool FC, Hamburger SV, Southampton, Newcastle United, Blacktown City
- **Kariera szkoleniowa:** Newcastle United, Fulham, reprezentacja Anglii, Manchester City, Newcastle United
- **Sukcesy**: 3 x mistrzostwo Anglii, klubowy Puchar Europy, Puchar Anglii i dwa razy Puchar UEFA z Liverpool FC; mistrzostwo Niemiec z Hamburger SV . Piłkarz Roku Europy 1978 i 1979

Snajper z nadziejami

Patryk Szysz szybko adaptuje się w opolskim zespole i już na początku sezonu myśli o ekstraklasie.

ODRA OPOLE

Kontrakt podpisał 18 lipca, a już sześć dni później zadebiutował w nowych barwach. Patryk Szysz, bo o nim mowa, pojawił się na murawie Itaka Arena w 46 minucie meczu Odry z Arką i nie odwrócił jego losów. Opolanie po golu straconym 10 minut przed przerwą nie zdołali bowiem odpowiedzieć wyrównującym trafieniem. Nie zmienia to jednak faktu, że kibice Niebiesko-czerwonych sporo sobie obiecują po obecności wychowanka Górnika Łęczna w zespole Łukasza Tomczyka.

– Tak naprawdę jestem dopiero kilka dni w Opolu – podkreślił w klubowych mediach 28-letni napastnik. – Można więc powiedzieć, że to jest adaptacyjny początek i sporo się dzieje, szczególnie w sprawach administracyjnych, jak to zawsze przy przeprowadzkach. Wszystko idzie jednak sprawnie i w szatni też się odnajduję. Znalazłem się co prawda w nowym zespole i dużo nowych twarzy trzeba było zapamiętać. Z niektórymi zawodnikami miałem już jednak wcześniej przyjemność widzieć się na boisku, bo graliśmy przeciwko sobie. Adaptacja idzie jednak w miarę sprawnie i myślę, że z każdym dniem, treningiem i meczem będziemy się jeszcze lepiej docierać, komunikować – na boisku i poza nim, żeby było coraz lepiej.

Swoje zasady

Debiut już został zaliczony. W dodatku był to wyjątkowy mecz dla nowego zawodnika Odry, bo zagrał przeciwko Arce, w której spędził miniony sezon. Ten najbardziej sentymentalny występ ma już więc za sobą – no chyba, że za taki uzna grudniowe starcie rewanżowe w Gdyni, gdzie spędził poprzednie 12 miesięcy. Teraz jednak droga Opolan wiedzie do Głogowa, w którym w poniedziałek o godzinie 19.00 Odra zagra z liderującym po pierwszej kolejce Chrobrym.

– Do każdego meczu staram się podejść tak samo – zaznaczył zawodnik, która ma na swoim koncie 123 występy i 23 gole w ekstraklasie. – Nie patrzę, jaki to przeciwnik, bo my wiemy, co mamy robić na boisku. Znamy swoje mocne strony i swoje zasady. Do spotkania z każdym rywalem przygotowujemy się zarówno indywidualnie, jak i drużynowo. Wiemy też, o co gramy, bo gdy przychodziłem do Odry, to cele zostały mi przedstawione. Ale nie myślimy o tym, tylko chcemy się skupiać na każdym najbliższym meczu. Jeżeli na nim się skupimy i będziemy wygrywać mecz za meczem, to myślę, że ten upragniony awans, na który kibice i miasto czekają już tyle lat, stanie się faktem. Myślę, że to będzie w naszym zasięgu i na pewno będziemy dążyć do tego, żeby to miasto i ten klub były w najwyższej lidze. Jestem naprawdę zaskoczony infrastrukturą, bo jest bardzo piękny stadion, najnowszy w Polsce. Jest bardzo dobre zaplecze do rozwoju i do tego, żeby każdego dnia stawać się lepszym zawodnikiem. A te małe rzeczy, nad którymi codziennie będziemy pracować, przyczynią się do tego, że jako cała społeczność Odry Opole osiągniemy cel i awansujemy do ekstraklasy.

Pobić rekord

Nie znaczy to jednak, że presja awansu, o którym na progu sezonu głośno się w Opolu mówi, przytłacza piłkarza mającego za sobą występy także w europejskich pucharach oraz najwyższej klasie rozgrywkowej w Turcji. Kibice w Opolu liczą jednak przede wszystkim na to, że będzie znowu trafiał tak jak przed transferem do Basaksehir FK, bo w sezonie 2021/22 strzelił – i to jest jego snajperski rekord – 11 goli w 33 ligowych występach w barwach Zagłębia Lubin. Później jednak kontuzja wybiła go z rytmu i w Opolu chce się odbudować.

– Fajne jest też to, że kibice dają nam wsparcie – podkreślił Patryk Szysz. – To napędza zawodników, jeśli kibice dopingują, trzymają za nas kciuki. Dało się to odczuć na prezentacji drużyny, że ludzie żyją tym klubem, utożsamiają się z zawodnikami, a dla nas jest to bardzo ważne. Ten dwunasty zawodnik jest ogromnie ważny dla zespołu wtedy, kiedy jest dobrze, a jeszcze bardziej w trudnych momentach, gdy gra nie układa się po myśli drużyny. Zawsze jest to dodatkowa motywacja i jest to dla nas bardzo ważne – podkreślił.

Jerzy Dusik

Sport 336cfef57a

Pomidorek, który dojrzał

Łukasz Fabiański czuje, że miał karierę spełnioną. Niewielu osiągnęło tyle, co on, choć nie da się nie odnieść wrażenia... że mogło być jeszcze lepiej!

W czasach, gdy dzieci idą na trening w wieku czterech lat, kariera Łukasza Fabiańskiego zdecydowanie się wyróżnia. Na pierwsze zajęcia udał się... dopiero jako 14-latek! Choć sympatyzował z koszykówką (kocha NBA) czy... tenisem stołowym (był mistrzem powiatu!), zdecydował się stanąć między słupkami.

Na piwko przez okno

„Fabian" urodził się w przygranicznym Kostrzynie nad Odrą, ale wychował w Słubicach. To właśnie w tamtejszej Polonii zaczął grać w piłkę w 1999 roku. Spod polsko-niemieckiej granicy szybko przeniósł się do Szamotuł, gdzie Młodzieżowa Szkoła Piłkarska była uznawana wówczas za najlepszą akademię w Wielkopolsce. Słynęła głównie ze szlifowania bramkarzy, za co odpowiadał Andrzej Dawidziuk, dziś trener golkiperów reprezentacji Polski. Z Szamotuł wypłynęli też m.in. Radosław Cierzniak czy Łukasz Załuska, uważany wtedy za większy talent od Fabiańskiego. W MSP byli też m.in. Szymon Pawłowski, Jakub Wawrzyniak, Grzegorz Rasiak czy ciut później Jan Bednarek. „Fabian" natomiast kumplował się z rok starszym Pawłem Iwanickim, z którym jeździł na młodzieżowe zgrupowania reprezentacji. – W swoim drugim roku w Szamotułach chciałem już gdzieś wyskoczyć na piwko, zdarzało się wymykać. Ale nie przypominam sobie, by Łukasz uciekał z nami przez okno – wspominał po latach Iwanicki.

Chwila ekstrawagancji

– Od zawsze był profesjonalistą. W Mieszku Gniezno było kiepsko finansowo. Mieliśmy zapewnione spanie, jakieś obiady, ale pieniędzy z tego grania nie było. Ja kupowałem jakieś najtańsze jedzenie na kolację, a Łukasz podkreślał, że zdrowe odżywianie jest najważniejsze. Kupował lepsze soki, zwracał na to uwagę... Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek się z kimś pokłócił – stwierdził w Interii Iwanicki, z czym trudno się nie zgodzić. Fabiański przez całą karierę słynął przecież ze spokoju, kultury i powszechnej sympatii. Za młodu miał jednak... chwilę ekstrawagancji. – W tamtych czasach pasemka były modne wśród piłkarzy. Też je sobie robiliśmy, choć wychodziło... różnie – wspominał z uśmiechem blond czuprynę kolegi Iwanicki.

Fabiański zaliczył wypożyczenia do Lubuszanina Drezdenko, Sparty Brodnica, wspomnianego Mieszka, aż latem 2004 wziął go do siebie Lech Poznań. Tam spędził tylko pół roku, zagrał raz – w pucharowym meczu z Arką (4:1), co było jego debiutem we w pełni profesjonalnym futbolu. – Chciał być pierwszym bramkarzem, ale nie było na to szans – wspominał niegdyś ówczesny prezes Kolejorza Radosław Majchrzak. Wtedy mocną jedynką w zespole był Waldemar Piątek, jego zastępcą Krzysztof Kotorowski. – Przyszedł do nas i powiedział: chcę grać. Wtedy to był przeciętny bramkarz. Mieliśmy lepszych i dlatego od nas odszedł – skwitował Majchrzak, a bardziej obrazowo opisał to po latach Czesław Michniewicz, wtedy trener poznańskiej ekipy: – Nie było szans. Waldek był numerem jeden; bohaterem, który zdobył Puchar Polski. Łukasz był ciekawym pomidorkiem, ale wciąż jeszcze zielonym. A na targu zielonych się nie kupuje, skoro obok są dojrzałe.

Rok 2010 i mecz towarzyski Legii z Arsenalem. Fabiański oczywiście w barwach Kanonierów. Fot. Zofia Szuster / Press Focus

Złote Buty „Sportu"

Na niechęci Lecha skorzystała... Legia. Przez pierwsze pół roku Fabiański się przyglądał, ale gdy latem 2005 Artur Boruc odszedł do Celtiku, trener Jacek Zieliński postawił właśnie na niego. Debiut w ekstraklasie? Jak w Pucharze Polski – z Arką, tyle że 0:0. Spisywał się fenomenalnie, dzięki czemu w 30 meczach wpuścił tylko 17 goli, zachował aż 19 czystych kont, a Legia zdobyła mistrzostwo! „Fabian" wygrał zresztą miano najlepszego piłkarza ekstraklasy w naszej klasyfikacji Złotych Butów. Przy Łazienkowskiej pograł jeszcze rok, a potem za ponad 4 mln euro ściągnął go do siebie Arsenal. Co ciekawe, mógł tam trafić szybciej, jeszcze przed Lechem, ale wtedy – po pozytywnych testach na Wyspach – zrezygnował.

Do Londynu Fabiański jechał z nową ksywką – „Bambi". Z jednej strony wynikała z tego, że był chłopakiem bardzo grzecznym i ułożonym. Gdy na pierwszym treningu Legii wszedł nieśmiało do szatni, jajcarz Boruc rzucił, że nowi mają się przedstawić. „Fabian" stanął na baczność i wyrecytował: – Dzień dobry, nazywam się Łukasz Fabiański, mam 19 lat i pochodzę ze Słubic, grałem w... – nim skończył, szatnia rykła śmiechem, a młody usiadł i zrobił się czerwony jak burak (a może pomidorek?). W środowisku krąży też historia, jakoby Fabiański – fan kina i muzyki – został przyłapany przez legijnych kolegów, jak wychodzi... z kinowego seansu właśnie o jelonku „Bambi". Na ekrany wchodziła wtedy akurat druga część...

Flappyhandski

W Arsenalu „Fabian" był przez siedem lat i raczej nie można powiedzieć, by wyciągnął z tego maksa. Zagrał 78 razy, a najwięcej meczów zaliczył w sezonie 2010/11 – licząc wszystkie rozgrywki, było ich 21. Kanonierzy uwierzyli, że będzie następcą Jensa Lehmanna, potem przeciętnego Manuela Almunii, ale niewiele z tych planów wyszło. Zawsze było coś – jak nie słaba forma, to kontuzja. Początkowo Polak bronił mało, był młody, miał się przyglądać, łapać klimat. Klub chciał go wypożyczyć, żeby przyspieszyć aklimatyzację, ale Fabiański nie był chętny – i po latach żałował. – Myślę, że będzie wielkim bramkarzem, ale jest tylko jedno miejsce dla golkipera.

Model z purpurowego Golfa

Rozmowa z **Kamilem Rytką**, eksbramkarzem Legii (w okresie, gdy trafił do niej Łukasz Fabiański), dziś pracującym i mieszkającym w Norwegii

Łukasz Fabiański właśnie ogłosił zakończenie kariery. Pan z kolei był u jej progu: jako niespełna 19-latkowie konkurowaliście ze sobą na treningach, prawda?

– Owszem, zdarzało się, choć moje miejsce było zazwyczaj w drugiej drużynie, a Łukasz oczywiście przychodził do „jedynki". Dołączałem natomiast często do treningów bramkarzy pierwszego zespołu. I tak naprawdę od pierwszego kontaktu miałem wrażenie, że... jest troszeczkę inny niż pozostali piłkarze Legii w tamtym momencie.



Fot. Press Focus

Łukasz Fabiański o pół kroku przed Wojciechem Szczęsnym? Są zwolennicy takiego poglądu!

Wow! Cóż to znaczy?!

– To nie był chłop z piłkarskiej szatni tamtych czasów. Taki, co to po wypłacie zaraz leci do salonu z luksusowymi kosmetykami i kupuje drogie perfumy. Żaden cwaniak. On był grzeczny, ułożony, sympatyczny. Pewnie stąd się wzięła ksywka „Bambi".

Zero „sodówy"?

– Tak jest, zero. Jeździł, jak pamiętam, starym Golfem trójką. Purpurowym, zdaje się. Wiózł mnie kiedyś na trening na Bemowo; w aucie z kasety leciał Tupac, bo Łukasz go uwielbiał.

Fajne smaczki. A piłkarsko jak wyglądał?

– Zwierzak. Zupełnie inny poziom fizyczny niż to, co widziałem do tej pory. Superwytrenowany, superwyszkolony, supersprawny. Zimą mieliśmy treningi sprawnościowo-motoryczne, powtarzało się pewien cykl ćwiczeń. Mieliśmy je wykonywać na określonym tętnie, 150 czy 160 na minutę. I on, zachowując to tętno, w tych ćwiczeniach po okręgu normalnie nas wszystkich na trzecim czy czwartym okrążeniu zdublował! Choć każdemu z nas się wydawało, że ćwiczymy na maksa.

Kiedy „Fabian" przychodził do Legii, do odejścia szykował się Artur Boruc. Nie wkurzało pana, że konkurenta panu sprowadzają?

– Eee, gdzie mi tam do niego było... Znałem swoje miejsce w szeregu. Zresztą byłem wtedy po dwumiesięcznej przerwie w treningach, bo przed debiutem w „dwójce" z Olimpią Warszawa złamałem żuchwę i miałem przez dłuższy czas „zęby na drutach". A na Łukasza po prostu przyjemnie było patrzeć. Kocur prawdziwy, chłop z innej bajki piłkarskiej. Podziwiałem jego styl bronienia, jego wyszkolenie. Był starszy o rok, ale pilnie słuchałem wszystkich jego rad i podpowiedzi. Dziś wiele z nich wykorzystuję w swojej pracy trenerskiej.

Jakieś konkretne wspomnienie tych wskazówek?

– W pewnym momencie trener KrzysztofDowhań zwrócił mi uwagę bodaj na lądowanie po wyjściu do dośrodkowania. Grzecznie odpowiedziałem, że... to chyba jakiś niewiele znaczący szczegół. I wtedy odezwał się Łukasz: „Wiesz co, w naszej robocie diabeł tkwi właśnie w takich szczegółach"! Zapadło mi to bardzo w pamięć.

„Grzeczny" i „ułożony" – powiedział pan o nim. A może za bardzo ułożony, żeby mieć – na przykład – 150 meczów w reprezentacji i tytuły mistrzowskie w różnych klubach i krajach.

– Każdy jest inny, każdy ma swój sposób życia. Możliwe, że coś w tym jest, choć on o swoje też walczył, tyle że na własny, osobisty sposób. Starał się być kulturalnym, fajnym gościem, którego nie da się nie lubić. Zresztą nawet dziś, gdy oglądam w internecie jego treningi z młodymi ludźmi, od razu widać, że to jest po prostu niesamowicie cierpliwy i sympatyczny człowiek. A czy mu to przeszkodziło w osiągnięciach? Nie był zależny wyłącznie od siebie. Gdyby „Błaszczu" strzelił karnego w ćwierćfinale EURO 2016 z Portugalią, może i miałby Łukasz w kolekcji tytuł mistrza Europy?



No to jeszcze na koniec bardzo konkretnie: „Fabian" czy „Szczena"?

– Z „Fabianem" trenowałem, kiedy wchodził do seniorskiej piłki, „Szczenę" miałem okazję poznać, jak był 15-letnim dryblasem i zaczynał z nami ćwiczyć. Zawsze byłem zdecydowanym fanem Łukasza. Raz – z racji samego wyszkolenia. Dwa – bo osiągnął tak wiele wyłącznie własną pracą. Wojtek Szczęsny dostał trochę dobrych genów od ojca, Fabiański wszystko zbudował sam. Poza tym on zawsze między słupkami wyglądał jak... model w tym fachu. Gdybym miał wybrać bramkarski wzór elegancji, byłby to właśnie Łukasz!

Rozmawiał
Dariusz Leśnikowski

Sport 336cfef57a



Fot. Rafał Oleksiewicz / Press Focus

57 meczów w kadrze, 376 w Premier League, 53 w ekstraklasie, a do tego liczne puchary i pucharki... „Fabian" będzie miał co opowiadać na starość!

On jeszcze dostanie swoją szansę, bo jest młody. Do tej pory jestem z niego bardzo zadowolony – mówił kilka miesięcy po transferze słynny trener Kanonierów Arsene Wenger.

„Bambi" miał nawet w Anglii momenty, gdy... wręcz rozważał zakończenie kariery. Wiele było spotkań, gdy nie radził sobie z presją – zły był głównie 2010 rok, gdy zawalił mecz Ligi Mistrzów z Porto i gdy wpuścił farfocla w – wygranym 4:1 – starciu z Tottenhamem. „Flappyhandski" – pisały media, co można tłumaczyć jako „wpuszczalski".

Paradoksalnie najprzyjemniejszym momentem Fabiańskiego w Arsenalu była sama końcówka. W sezonie 2013/14 był tylko zmiennikiem, ale w Pucharze Anglii Wenger stawiał właśnie na niego – i świetnie na tym wyszedł. „Fabian" w półfinale z Wigan obronił dwa rzuty karne w serii „jedenastek", w finale też dał radę, dzięki czemu pomógł Kanonierom zdobyć pierwsze od dziewięciu lat trofeum! No ale chciał grać w podstawie, a na Emirates to nie było możliwe.

Półfinał Pucharu Anglii z Wigan. W meczu Jordi Gomez pokonał Polaka z karnego. Potem kolegom Hiszpana już tak dobrze z Fabiańskim nie poszło... Fot. Foto Color-sport / Press Focus

Gdy stał się łabędziem

Latem 2014 kontrakt Fabiańskiego wygasł i bramkarz przeniósł się do Swansea, a po czterech kolejnych latach – do West Hamu. Właśnie w tych dwóch drużynach „natrzaskał" najwięcej meczów w Premier League, dzięki czemu jego licznik zatrzymał się na 376 występach. Żaden Polak nie ma więcej! W Swansea „Bambi" stał się pięknym łabędziem (taki jest pseudonim Walijczyków) i już w pierwszym sezonie zaliczył aż 13 czystych kont! W takim zespole to był wyczyn. Zarówno tam, jak i w West Hamie właściwie tylko kontuzje powodowały, że nie grał – co w ekipie Młotów zmieniło się dopiero pod koniec, gdy zbliżał się już do 40-stki. W sezonie 2022/23 zdobył z nimi Ligę Konferencji, choć jako podstawowy bramkarz w czwartki akurat dostawał wolne. Gdy latem 2025 Londyńczycy nie przedłużyli jego umowy, wielu kibiców nie zgadzało się z tą decyzją. Jednak we wrześniu, gdy po słabym starcie sezonu zawodzili i Alphonso Areola, i Mads Hermansen, „Fabian" wrócił, na rok, który... niemal w całości stracił przez kontuzję pleców. I w takich też okolicznościach zakończył karierę. Ale w tej historii brakuje jeszcze jednego – Wojciecha Szczęsnego.

Never ending story

Ich historie przeplatają się właściwie od początku. Nawet... urodziny mają w ten sam dzień – 18 kwietnia – choć „Fabian" to 1985, a „Szczena" 1990. Gdy „Bambi" był w Legii, młody Wojtek już trenował z seniorami. Szczęsny jednak jeszcze przed debiutem wyjechał do Arsenalu, a ten sam kierunek obrał też potem Fabiański. Obaj rywalizowali ze sobą w Londynie, a choć młodszy golkiper był w klubie sumarycznie ciut krócej (on poszedł na „zapoznawcze" wypożyczenie), to gier zaliczył 181. Gdy „Fabian" zdobywał Puchar Anglii, był w zespole zmiennikiem. Czyim? No Szczęsnego...

Ale była też reprezentacja, gdzie obaj przez lata rywalizowali. Raz górą był Fabiański, raz Szczęsny – choć wydaje się, że ten drugi najwyższy poziom osiągnął, gdy w 2021 roku „Bambi" zrezygnował z kadry. „Fabian" w polskiej bramce stanął w sumie 57 razy – był „trójką" na mundialu 2006, „dwójką" na Euro 2008, przez kontuzję opuścił Euro 2012, był zmiennikiem Szczęsnego na MŚ 2018 (zagrał tylko w ostatnim meczu „o honor") i Euro 2020/21. Młodszy wygrał też pozycję na Euro 2016, ale po pierwszym spotkaniu doznał kontuzji i wtedy Fabiański wreszcie mógł pokazać swoje umiejętności – co też zrobił, będąc bohaterem meczu 1/8 finału ze Szwajcarią. Potem były pamiętne, przegrane karne w ćwierćfinale z Portugalią i łzy „Fabiana" – Mam do siebie ogromne pretensje, że nie pomogłem drużynie – powiedział załamany, co pozostaje jednym z najmocniej kojarzonych momentów jego kariery.

– Wiele się mówi o naszej rywalizacji z Wojtkiem, ale to było fajne, nakręcające. To nigdy nie zeszło na jakiś niefajny plan – mówił w rozmowie z Viaplay Fabiański. Kilka lat temu w trakcie wolnego „Bambi" z rodziną poleciał do ciepłych krajów i spotkał tam... Szczęsnych. Nagle synowie obu panów zaczęli kopać ze sobą piłkę. – Zaczęliśmy się śmiać, że rywalizacja Szczęsny – Fabiański nigdy się nie skończy – wspominał z uśmiechem, który towarzyszył mu przez całą karierę.

Piotr Tubacki

Płynnie i miękko, jak u Claptona

Rozmowa z **Krzysztofem Dowhaniem**, przez ćwierć wieku trenerem bramkarzy w Legii, wychowawcą m.in. Artura Boruca, Łukasza Fabiańskiego i Wojciecha Szczęsnego

Pamięta pan pierwszy kontakt z Łukaszem Fabiańskim? Jego pierwsze zajęcia u pana?

– Pamiętam. Ze szkółki w Szamotułach zawsze trafiali do nas bramkarze superwyszkoleni pod względem technicznym. Z Łukaszem było tak samo. On jednak miał coś więcej: był świetnie przygotowany ruchowo, a sprawność ogólna – co w dzisiejszych czasach wcale nie jest oczywistością – była u niego na bardzo wysokim poziomie.

„Fabian" trafił pod pana skrzydła w wieku 19 lat. Dość późno, jak na taki talent.

– Trener Andrzej Zamilski miał go w reprezentacji juniorów i rekomendował go klubowi, gdy Łukasz miał 17 lat. Ale Dragomir Okuka miał mnóstwo wątpliwości. „Taki młody?" – wyraźnie był przeciwny. W końcu jednak chłopak trafił do nas. Byłem pod wrażeniem nie tylko jego umiejętności, o których już mówiłem, ale także jego charakteru. Był pełen pokory, chętny do pracy. Przez kilka miesięcy grał w rezerwach. I grał w nich super, naprawdę.

W pierwszym zespole musiał jednak poczekać na transfer Artura Boruca?

– Jeszcze przed wyjazdem Artura graliśmy w Krakowie z Wisłą, którą prowadził Maciek Skorża. „Kogo szykujesz do bramki po Arturze?" – spytał mnie przy okazji. Gdy wskazałem Łukasza, nie mógł się nadziwić. „Taki młody?" – zagadnął. Ale ja nie miałem wątpliwości. Zdobyliśmy wtedy za „Wdowca" mistrzostwo Polski, a „Fabian" rzeczywiście miał ekstrasezon. Pomógł ogromnie w zdobyciu tytułu (19 z 30 meczów ligowych z czystym kontem – dop. aut.). Było widać, że to kandydat do wielkiej kariery. I ją miał. Oczywiście można mówić, że w Arsenalu mógł więcej osiągnąć. Natomiast warto przypomnieć, że parę razy wstrzymywały go kontuzje. I to zazwyczaj wtedy, kiedy zaczynał fajnie grać. Później do Arsenalu „wpadł" Wojtek (Szczęsny – dop. aut.) i różnie się Łukaszowi potoczyło. Ale oczywiście to bardzo dobry bramkarz, jeden z najlepszych w historii naszej piłki.

Pamiętam wywiad z panem sprzed kilku lat, pod bardzo jednoznacznym tytułem: „Dla mnie to najlepszy bramkarz w Polsce" – o Łukasza oczywiście chodziło. Skąd ta opinia, że był najlepszy ze swego pokolenia?

– Artur Boruc, Wojtek Szczęsny... Różnice między nimi naprawdę były bardzo niewielkie, każdy z nich miał swoje zalety i swoje wady. Ale mam przekonanie, że Łukasz był najbardziej wszechstronny. Nie miał problemu w zasadzie z żadnym elementem bramkarskiej sztuki. Niektórzy narzekali, że za cichy, bo rzeczywiście mało się odzywał. Ale w bramce go było widać i słychać. A najważniejsze, że to, co miał zrobić, zazwyczaj wykonywał perfekcyjnie. Nie robił jakichś głupich błędów, więc pod tym względem zawsze dawał drużynie wielki spokój. Tak jak w 2006 na mistrzostwach świata i w 2008 na EURO naszym najlepszym zawodnikiem był Artur Boruc, tak w 2016, podczas turnieju we Francji, bohaterem absolutnie był właśnie „Fabian". „Narzekaliśmy" potem – właśnie w cudzysłowie – że nie obronił karnych w ćwierćfinale z Portugalią. Ale gdyby nie on, w ogóle by nas w tym ćwierćfinale nie było.

W innym wywiadzie porównał pan jego występy do wirtuozerii Erica Claptona w grze na gitarze.

– Oj, tak. Jak kocham muzykę, a u Claptona wszystko w tej jego grze jest takie płynne, miękkie, sprawiające wrażenie, jakby było to coś najłatwiejszego na świecie. I Łukasz tak właśnie prezentował się w bramce. Jakby porównać występy bramkarzy do skoków narciarskich, w których ocenia się styl, Łukasz za swoją grę miałby zawsze same dwudziestki.

A co z tym spokojem, opanowaniem? Bramkarze często zarządzają drużyną krzykiem, podpowiedzią.

– On to robił na swój sposób, nie wydzierał się. Zresztą ja zawsze swoim chłopakom stawiałem za przykład Ikera Casillasa. Bronił nieraz niesamowite piłki, ale nigdy nie miał pretensji do obrońców, że dopuścili do groźnej sytuacji. Po to jest golkiper, by interweniował wtedy, gdy oni się pomylą. Nie lubię bramkarzy, którzy po uderzeniu rywala z dwudziestego metra biegną do swych kolegów z defensywy z pretensjami, że pozwolili na ten strzał. To jest piłka; jakby za każdym razem nie pozwalali, to po cóż byłby bramkarz w drużynie? „Fabian" unikał takich reakcji. Kiedy trzeba było, zwracał uwagę, ale nie po to, by na kogoś naskoczyć, tylko pomóc w ustawieniu, w przeczytaniu gry.

Krótko mówiąc, osobowość chyba odmienna od Artura Boruca, prawda? Jak się panowie dogadywali przez te pół roku, kiedy „Fabian" niejako terminował u niego?

– Dużo korzystał z tej współpracy, ze wspólnych treningów. Zresztą była zawsze ciągłość w tym zakresie w Legii: Artur uczył się od Wojtka Kowalewskiego, Łukasz – od Artura. Czasami zdarzało mi się widzieć jakieś błędy młodego Łukasza na treningu; Artur był wtedy pierwszym, który je od razu korygował, który podpowiadał koledze.



Wasza wspólna praca nie trwała zbyt długo. Kontakt z Łukaszem pozostał po jego wyjeździe z kraju?

– Owszem. Bywały nawet sytuacje, że telefonicznie prosił mnie o jakąś podpowiedź. Teraz – jak czytam – sam chce zostać trenerem bramkarzy. Może się jeszcze gdzieś nasze drogi przetną?

Rozmawiał Dariusz Leśnikowski

Sport 336cfef57a

Po rozmowie z prezydentem

Trener Jarosław Skrobacz pracę ze Stalówką rozpoczął od zwycięstwa z rezerwami Legii, a teraz czeka na GKS Tychy.

STAL STALOWA WOLA

Po wielu latach trenerskiej pracy blisko domu albo na Śląsku – Górnym, Dolnym i Opolskim – Jarosław Skrobacz ruszył w Polskę. Szkoleniowiec, który do tej pory prowadził: Odrę Wodzisław Śląski, Naprzód Rydułtowy, Pniówek Pawłowice, GKS Jastrzębie, Miedź Legnica, Ruch Chorzów i Odrę Opole, wybrał się w niemal 400-kilometrową podróż i zakotwiczył w Stalowej Woli. Odległość nie była jednak jedynym problemem przed podjęciem nowego wyzwania. Większe wątpliwości budził fakt, że przez poprzednie pół roku przez Stal przewinęło się aż trzech trenerów prowadzących drugoligowy zespół. W dodatku, gdy odchodził Przemysław Cecherz, który był stanowisku tylko miesiąc, odszedł też dyrektor sportowy.

Temat zawirowań

- Ja też potrafię sobie zrobić „risercz" – mówi Jarosław Skrobacz. – Mam mnóstwo znajomych trenerów z tego regionu i tam pracujących, więc gdy pojawiła się propozycja, wykonałem wiele telefonów, choćby do Przemka Cecherza. Miałem więc pogląd na to, co się dzieje w klubie. Przede wszystkim słyszałem opinie zachwalające bazę, dowiedziałem się, że miejsce do pracy jest super, a na temat zawirowań postanowiłem poruszyć z panem Lucjuszem Nadbereżnym, prezydentem Stalowej Woli. Chciałem poznać punkt widzenia kogoś, kto ma wpływ na klub miejski. Podczas tej rozmowy usłyszałem gwarancję, która pozwoliła mi podjąć decyzję, choć jeszcze w noc poprzedzającą wyjazd z domu biłem się z myślami. Powiem szczerze, że gdyby tej rozmowy w ratuszu nie było, to nie wiem, czy bym się zdecydował. Ale gdy już podpisałem umowę i zacząłem się rozglądać, to faktycznie okazało się, że baza do pracy jest wspaniała, więc wziąłem się do trenerskiej roboty - podkreśla.

Tydzień przed inauguracją

W porównaniu z poprzednim sezonem zmiany w kadrze drugoligowej Stali są ogromne. Odeszło 14 zawodników, a 15 przyszło. Liczba więc mniej więcej się zgadza, a o jakości transferów świadczy fakt, że w wyjściowej jedenastce na inaugurację sezonu wybiegło sześciu piłkarzy, którzy w Stalowej Woli zostali. - Było trochę zamieszania, a nawet chaosu związanego z ruchami trenersko-dyrektorskimi w klubie i to nie sprzyjało spokojnemu przygotowaniu do sezonu – przyznaje doświadczony szkoleniowiec, który 11 sierpnia obchodził będzie 59. urodziny. – Sam fakt, że przyszedłem tu tydzień przed inauguracją ligi, i że nie było jeszcze wiadomo, kim będziemy grać, też stanowiło utrudnienie. Po to jednak zostałem zatrudniony, żebym sobie z tym radził. Pierwszy mecz pokazał, że mamy potencjał, ale cały czas szukamy młodzieżowca doświadczonego już na szczeblu seniorskim. Jeżeli takiego znajdziemy, to myślę, że kadrę będę mógł uznać za zamkniętą. Na razie mamy 21 zawodników do gry w polu i nietrenującego na tę chwilę Mateusza Radeckiego. Jak on dojdzie do zespołu, to też będzie – bardzo na to liczę – wzmocnieniem.



Fot. Kasia Dzierżyńska / Press Focus

Maksymilian Hebel, strzelając dwa gole w Urszulinie, zapewnił Stali dobry start.

Znajomi i znani

Wśród piłkarzy, którzy są do dyspozycji Jarosława Skrobacza, nie brakuje zawodników, których miał już pod opieką. Choćby w Odrze Opole jego podopiecznymi byli Adam Chrzanowski, Dawid Wolny i Piotr Żemło. - Znam też Maćka Śliwę, jeszcze z Miedzi, kojarzyłem wcześniej Darka Kamińskiego, czy Maksymiliana Hebla, więc nie było problemu z wejściem do szatni – twierdzi opiekun Stalówki. – Ponadto takie nazwiska jak: Marcin Grabowski, Hubert Tomalski czy Patryk Zaucha, ograni w ekstraklasie, też nie są anonimowe dla kogoś, kto śledzi polską piłkę. Nie znaczy to jednak, że mając tydzień na pracę z zespołem, wdrożyłem własną myśl taktyczną. Żeby to zrobić, musi upłynąć sporo wody w Wiśle, Odrze czy Sanie, który przepływa przez Stalową Wolę... Na razie działamy na zasadzie wzajemnej akceptacji. Przyjmuję do wiadomości to, do czego zawodnicy są już przyzwyczajeni, tym bardziej że na pierwszy mecz sezonu wyszło sześciu „starych" zawodników i pięciu, którzy doszli latem. Staram się więc do nich dostosować, a moje nowości chcę wprowadzać powoli. Byłoby trenerskim samobójstwem przy tych roszadach wprowadzać nowy system.

Z faworytem

Efekty tego dostosowania zaowocowały wyjazdowym zwycięstwem (2:0) z rezerwami stołecznej Legii, a przed Stalą już w piątek o 20.30 domowa inauguracja z GKS-em Tychy. Patrząc w tabelę, można powiedzieć, że trzeci zespół podejmuje piąty, a więc zanosi się na hit kolejki. - Na tym etapie sezonu na pewno nikt nie patrzy w tabelę, ale ważniejsze jest to, że można już poobserwować, jak grali rywale. Przed startem analiza taktyczna przeciwnika była bowiem zagadką. My mierzyliśmy się z rezerwami Legii, w których zagrali zawodnicy z kadry pierwszej drużyny. Mieliśmy trochę szczęścia w pierwszej połowie, ale z drugiej strony Dawid Wolny nie wykorzystał karnego. W samej końcówce Maks Hebel wystrzelał nam zwycięstwo. Dzięki niemu przyjemnie się pracowało, przygotowując się do spotkania z faworytem naszej ligi. Byli reprezentanci Polski Paweł Olkowski i Damian Kądzior w ofensywie, Michał Trąbka w środku boiska i jeszcze Mateusz Lewandowski na szpicy oraz bramkostrzelny junior Tymoteusz Ryguła to są tyskie atuty. Każdy z nich śmiało mógłby grać w I lidze, więc na naszym szczeblu – co potwierdziła wygrana 1:0 w Chojnicach – mogą dominować. Ale ten ich mecz z Chojniczanką pokazał też, że mają słabsze punkty, więc analizujemy oraz wyciągamy wnioski. Wiemy, że musimy zagrać mądrze i z wiarą w siebie, żeby pokazać gościom, że też potrafimy być groźni - kończy Jarosław Skrobacz.

Jerzy Dusik

Średnia spada

W jednej z najmłodszych drużyn Betclic 2. Ligi poprzedniego sezonu ostał się jeden weteran.

HUTNIK KRAKÓW

Czy kontynuacja odmładzania kadry nie tylko z powodu chęci stawiania na rozwojowych piłkarzy znów wystarczy do utrzymania?

Budziński wyjątkiem

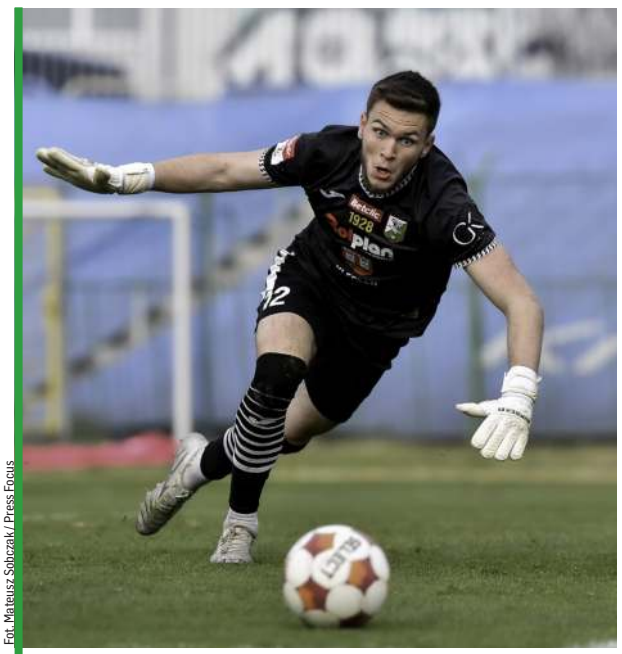
Hutnik jest w tym sezonie ewenementem na trzecim szczeblu rozgrywkowym. Kiedy inni idą wyżej, spadają lub nie mogą ustabilizować swojej pozycji, Krakowianie od 2020 roku niezmiennie funkcjonują w II lidze. Dostali się do niej w 2020 roku i z mniejszym lub większym trudem zapewniają sobie utrzymanie. Cztery lata temu uśmiechnęło się do nich szczęście - nie zostali relegowani z najwyższego miejsca spadkowego, bo problemy organizacyjne zmusiły do rezygnacji Wigry Suwałki. Gdy dwa lata temu po boisku biegał jeszcze obecny trener Krzysztof Świątek, skład miał średnią wieku ponad 27 lat. Podwyższało ją kilku zawodników zdecydowanie powyżej 30. roku życia. Dziś o takich liczbach nie ma mowy. Jedynym zawodnikiem z trójką z przodu jest 36-letni Marcin Budziński. Nowy pomocnik Oskar Kordykiewicz, urodzony w 2000 roku, od razu stał się trzecim najbardziej doświadczonym zawodnikiem Dumy Nowej Huty! Wśród tych, którzy latem chciano pożegnać lub sami zdecydowali się na taki ruch, znaleźli się 37-letni Wilde-Donald Guerrier i 31-letni Maciej Urbańczyk.

Bramkarze w formie

W niedzielnym meczu przeciwko Sandecji Nowy Sącz (0:0) średnia wieku Hutników wyniosła 22,5 roku. Młodsze składy wystawiły tylko rezerwy Śląska Wrocław (21,1) i Legii Warszawa (21,6), które co do zasady służą do ogrywania talentów. Najbardziej wiekową kadrę zaprezentowała zaś debiutująca na trzecim poziomie rozgrywkowym Avia Świdnik - 27,3. Spory bagaż piłkarskich doświadczeń wnieśli na murawę zawodnicy z Nowego Sącza (25,9), którzy w 1. kolejce podejmowali przyjezdnych z Krakowa. O brak goli zadbali bramkarze: dobrze spisywali się Karol Szymkowiak (po strzale Mateusza Sowińskiego uratowała go poprzeczka) i debiutujący w krakowskiej ekipie Mateusz Mędrala. - Był to naprawdę niezły mecz dla kibica. Obfitował w dużą liczbę sytuacji Sandecji i naszych. Było widać, że dwa zespoły schodziły z boiska z dużym niedosytem – komentował Krzysztof Świątek, trener Hutnika.

Transfer na Słowację?

Poza kadrą gości znalazł się napastnik Kacper Prusiński. Najskuteczniejszy zawodnik Hutnika w poprzednim sezonie zdobył 14 goli i zaliczył trzy asysty. Według portalu Weszło piłkarzem urodzonym pod koniec 2004 roku zainteresowała się słowacka Żylina, która zaoferowała za transfer 300 tys. zł. Kwota nie robi wrażenia, kiedy słyszy się o milionowych sumach, ale dla liczącego każdą złotówkę Hutnika byłaby sporym zastrzykiem. Sytuacja finansowa klubu pozostaje trudna i jest jednym z głównych powodów stawiania na młodych graczy. Takich z niższymi oczekiwaniami i perspektywą wytransferowania ich w przyszłości.



Fot. Mateusz Sobczak / Press Focus

Mateusz Mędrala zaliczył udany debiut w Hutniku.

Michał Knura

Sport 336cfef57a

Gorzka pigułka

Cztery nasze drużyny nie zrealizowały podstawowego celu i teraz nadzieja we florecistkach oraz szablistach. Nie mamy jednak złudzeń...



Fot. Polski Związek Szermierczy

Mateusz Antkiewicz, akademik z Katowic, wraz z kolegami dzielnie walczył, ale ostatecznie Ukraińcy okazali się lepsi jednym trafieniem.

MISTRZOSTWA ŚWIATA

Jeszcze przed mistrzostwami świata w Hongkongu wiedzieliśmy, że medale wiszą wysoko. Jednak związkowi działacze przekonywali: najważniejsze, by nasze zespoły awansowały do ćwierćfinałów, bo wówczas poprawią swoje lokaty w rankingu i będą miały lepszą pozycję wyjściową przed kolejnym, jakże ważnym sezonie. A tymczasem przed ostatnim dniu turnieju szablistki i szpadziści ostatecznie zajęły 12. miejsca. Przed imprezą wcale nie ukrywaliśmy, że liczyliśmy na Zuzannę Cieślar oraz jej koleżanki. Jednak kontuzja liderki sprawiłam, że zespół nie mógł zrealizować planu.

Przyjąć z godnością

Biało-czerwone, w połowie zmienionym składzie, w ubiegłym roku w Tbilisi zajęły 17. lokatę. Wtedy, w 1. rundzie trafiły na Rosję, której, mimo protestów, niemal w ostatniej chwili została dopuszczona do MŚ. Teraz mieliśmy się odbić i zdecydowanie poprawić lokatę. Nikt jednak nie mógł przewidzieć, że Zuza Cieślar, ubiegłoroczna wicemistrzyni świata oraz liderka zespołu, tuż przed imprezą skręci kolano. Rozpoczął się wyścig z czasem. Sosnowiczanka wystartowała indywidualnie i drużynowo, ale nie była jednak w optymalnej dyspozycji.

Najważniejsze, by pokonać Japonię i awansować do czołowej ósemki - słyszeliśmy od trenera. Zaczęło się od planowej wygranej z Wenezuelą 45:26. Spotkanie w 1/8 finału z Azjatkami napawało optymizmem, bo po czterech walkach przegrywaliśmy zaledwie jednym trafieniem 19:20. Nieszczęście pojawiło się w dwóch kolejnych potyczkach. Najpierw debiutantka Maria Więckiewicz przegrała z Misaki Emurą 1:5 i w takich samych rozmiarach starsza ze sióstr Cieślar uległa Yrinie Kaneko. Japonki prowadziły już 30:21 i takie straty były już nie do odrobienia. W kolejnej rywalizacji na planszy pojawiła się młodsza z sióstr Cieślar - Julia i walkę z Aeri Ozaką zremisowała 5:5. W ostatniej walce Zuza odrobiła trzy punkty, ale to było wszystko, na co było nas stać. A potem Japonki przegrały z Węgierkami, które zdobyły złoty medal, pokonując Chiny 45:41.

Polkom przyszło walczyć o miejsca 9-16; pokonały Azerbejdżan 45:34, ale przegrały z Hiszpanią 35:45 i z Uzbekistanem 44:45. W tym ostatnim meczu Zuza odrobiła 10 trafień w potyczce z Gulistan Perdebawą i doprowadziła do remisu. Jednak ostatnie trafienia zadała rywalka.

- Wracamy na tarczy i muszę to wziąć na klatę – stwierdził w minorowym nastroju trener Tomasz Dominik. - Najbardziej zabolała mnie porażka z Uzbekistanem, bo to spotkanie powinniśmy wygrać bez większych problemów. Zuzia podczas walk drużynowych pokazała się z dobrej strony, ale nie mieliśmy wsparcia w tej trzeciej zawodniczce. Julka Cieślar i Marysia Więckiewicz potrzebują czasu, by oswoić się z imprezami najwyższej rangi. Musimy przełknąć gorzką pigułkę i po urlopach znów zabrać do pracy, by jak najlepiej walczyć w Pucharach Świata. Zdobyliśmy parę punktów w rankingu, ale zdecydowanie mniej niż zakładałem.

Zadecydowała dogrywka

Polscy szpadziści (Damian Michalak, Mateusz Antkiewicz, Jan Socha i Piotr Urban) mieli olbrzymią szansę, by znaleźć się w ćwierćfinale. Stracili ją w niecodziennych okolicznościach. Biało-czerwoni, rozstawieni z nr 23., zaczęli od dwóch zwycięstw - z Meksykiem 45:27 oraz wyżej notowanymi Amerykanami 45:43. W 1/8 finału zmierzyli się z brązowymi medalistami tegorocznych ME, Ukraińcami. Po 5. walkach był remis 12:12, po kolejnych trzech prowadziliśmy 25:18 i z optymizmem patrzyliśmy na ostatni pojedynek, w którym Michalak zmierzył się z Romanem Swiczkarem. Szpadzista gliwickiego Piasta stracił jednak przewagę (15:22) i o wygranej rywali zadecydowała dogrywka! A potem Ukraińcy dwoma trafieniami wygrali ze Szwajcarią, jednym z Izraelem i znaleźli się w finale! Dopiero w nim przegrali z Kazachstanem 40:45, ale i tak osiągnęli spory sukces.

A Biało-czerwoni w meczach o miejsca 9-16 najpierw wygrali z Chinami 45:42, a potem doznali porażek z Madziarami 25:35 i Uzbekistanem 31:45. W poprzednich MŚ byli na 18. miejscu, zaś teraz na 12. Niby jest postęp, ale jednak... nie taki, jak oczekiwano.

W ostatnim dniu turnieju rywalizują zespoły florecistek oraz szablistów.

(sow)

WYNIKI

■ **Szabla drużynowo K – ćwierćfinały:** Francja – Włochy 45:44, Węgry – Japonia 45:36, USA – Ukraina 45:44, Chiny – Korea Płd. 45:41; **półfinał**: Węgry – Francja 45:44, Chiny – USA 45:36; **o 3. m:** Francja – USA 45:40; **finał**: Węgry – Chiny 45:41.

■ **Kolejność**: 1. Węgry, 2 Chiny, 3. Francja, 4. USA, 5. Japonia, 6. Ukraina, 7. Włochy, 8. Korea Płd. ... 12. Polska.

■ **Szpada drużynowo M – ćwierćfinały:** Egipt - Rosja 45:35, Kazachstan – Dania 45:36, Izrael – Korea Płd. 43:32, Ukraina – Szwajcaria 39:37; półfinał: Kazachstan – Egipt 41:32, Ukraina – Izreal 45:44; **o 3. m.**: Egipt – Izrael 39:28; **finał**: Kazachstan – Ukraina 45:40.

■ **Kolejność**: 1. Kazachstan, 2. Ukraina, 3. Egipt, 4. Izrael, 5. Szwajcaria, 6. Dania, 7. Rosja, 8. Korea Płd. ... 12. Polska.

Szósty finał z rzędu?!

Najpierw przełamać fatum Pucharu Polski, a potem... – tak mówią w Katowicach.

TAURON HOKEJ LIGA

Hokejowa GieKSa – pod okiem trenera Jacka Płachty oraz jego współpracowników – to niezwykle stabilna firma. Pięć finałów play off z rzędu oraz dwa tytuły mistrzowskie mają swoją rangę. Kibice to ewenement na skalę światową – z zespołem są na dobre i na złe, wspierając go w każdej sytuacji. Ten, wprawdzie mocno okrojony, bez większości obcokrajowców, rozpoczął na lodowisku Jantor w Katowicach-Janowie przygotowania. Oficjalna inauguracja, już w komplecie, nastąpi w najbliższy poniedziałek.

Koleje losu

W katowickiej kadrze, jak nakazuje tradycja, znów nastąpiły zmiany. Dwunastu zawodników odeszło, w tym m.in. bramkarz Jesper Eliasson, napastnicy Jean Dupuy i Mateusz Bepierszcz. Przyszło jednak ośmiu nowych. Największą niespodzianką, naszym zdaniem, jest powrót po trzech latach Patryka Krężołka, bo rozstawał się z GieKSą w gęstej atmosferze. Jednak po rozmowach, wedle naszych ustaleń, z trenerami oraz działaczami, bramkostrzelny napastnik zdecydował się wrócić, choć miał kilka innych ofert.

– On będzie takim łącznikiem między doświadczonymi i młodymi zawodnikami, bo powrócił do nas jako doświadczony ligowiec oraz reprezentant kraju – podkreśla dyrektor sekcji, Roch Bogłowski. – Stworzyliśmy, w miarę naszych możliwości organizacyjno-budżetowych, ciekawą mieszankę doświadczonych i młodych zawodników. Teraz musieliśmy mieć na uwadze, że w drużynie ma występować dziesięciu rodzimych hokeistów. Dla wielu nasza kadra może wydawać się dość szczupła, bo mamy 22 zawodników, ale będziemy ewentualnie wspierani przez młodzież z naszej akademii. Każdy klub ligowy ma filozofię budowy drużyny i my trzymamy się własnych kanonów.

Klub ostatnio pochwalił się zatrzymaniem 29-letniego szwedzkiego obrońcy Jacoba Lundegarda (183 cm, 82 kg), który w 57 spotkaniach zdobył 20 pkt (8 goli+12 podań). Ponadto roczny kontrakt podpisał jego rodak 32-letni napastnik Emil Forslund, mający w swoim CV występy w obu najwyższych ligach swojego kraju. W ostatnim sezonie reprezentował Nybro Vikings w HockeyAllsvenskan (drugi poziom rozgrywkowy) i w 45 spotkaniach miał 7 pkt (1+6 asyst).

Uprościć grę

– Zmiany w drużynie są niezbędne i to z wielu powodów – podkreśla szkoleniowiec GKS-u. – Przede wszystkim staramy się o nowy impuls i nowi mogą go dać. Trzon, zwłaszcza ten rodzimy, pozostał i chcieliśmy do niego dołożyć jakości. Uważam, że nam się to udało; z każdym nowym zawodnikiem przeprowadziliśmy rozmowy i przedstawiliśmy plany. Mamy graczy charakternych, o sporym potencjale i trzeba stworzyć teraz drużynę. Oczekuję przede wszystkim od niej prostej gry, by szybko wychodzić z własnej do tercji rywali i decydować się na strzał. A w poprzednim sezonie często komplikowaliśmy sobie sytuację, bo rozgrywaliśmy akcje, które nie przynosiły efektu. Oczywiście nadal będziemy inwestować i wspierać młodych zawodników z myślą o reprezentacji i zmianie pokoleniowej w GKS-ie. Oni mają spore możliwości, ale od nich samych zależy, czy go wykorzystają. Na razie są na dobrej drodze, ale przed nimi jeszcze sporo pracy, by stali się lepsi. Oczywiście, porównując kadry na papierze, na pewno ustępujemy innym klubom, ale to nic nie znaczy. Ode mnie i moich współpracowników będzie zależało, jak będzie funkcjonowała drużyna.

Odmieniony kapitan

Grzegorz Pasiut w maju wszedł w wiek inżyniera Karwowskiego, ale wcale nie wygląda na 40 lat. Do tego po letniej przerwie jest optymistycznie nastawiony. – Przede wszystkim jestem lepiej przygotowany niż rok temu o tej samej porze – mocno akcentuje kapitan GieKSy. – 25 kwietnia, bo taki był plan, przeszedłem operację łąkotki lewego kolana i po tygodniu zacząłem rehabilitację oraz ograniczony trening pod kierunkiem Kuby Jaworskiego, byłego hokeisty, dziś fizjoterapeuty. Przez cały poprzedni sezon miałem dyskomfort, bo czułem ból w kolanie i w tych najważniejszych momentach na lodzie nie byłem z siebie zadowolony. Teraz jest zupełnie inaczej – czuję się odmieniony, nic mnie nie boli. Oczywiście, nie wiem, co będzie podczas meczów kontrolnych oraz ligowych, ale teraz tryskam humorem. O zmianach w kadrze dowiaduję się z sieci, ale skład jest umiejętnie skomponowany. Wszystko tak naprawdę okaże się na lodzie.

– Jakie cele na zbliżający się sezon? Najpierw Puchar Polski, a potem finał play off? – sugeruję w kuluarowych rozmowach. A w odpowiedzi słyszę od uśmiechniętych hokeistów, że biorą to w ciemno. Ale jak to zrobić, bo już próbowali na różne sposoby przełamać tę złą passę związaną z krajowym pucharem. – To trofeum mamy na celowniku, ale nie mówię o tym głośno. A finał biorę... – uśmiecha się na pożegnanie trener Płachta.

Włodzimierz Sowiński

MECZE KONTROLNE GIEKSY

■ **Czwartek (13.08.):** Unia Oświęcim – GKS Katowice
■ **Sobota (15.08):** GKS – Unia
■ **Wtorek (18.08)**: HK Poprad – GKS
■ **Czwartek (20.08.):** GKS – HK Poprad
■ **Piątek (28.08.)**: Lausitzer Füchse – GKS
■ **Sobota (29.08)**: Rostock Piranhas – GKS
■ **Piątek (4.09.):** HC Preszów – GKS
■ **Sobota (5.09.):** HK 32 Liptowski Mikulasz lub Budapeszt – GKS
■ **Czwartek (10.09.)**: HC RT Torax Poruba – GKS

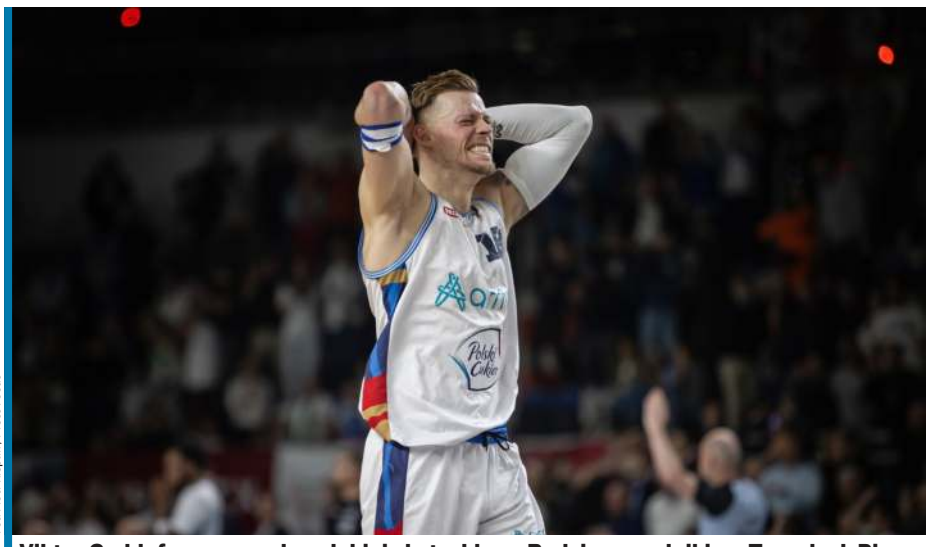
Sport 336cfef57a

Dziki i Czarni zamknęły składy

Giełda transferowa: pierwsze skompletowane kadry i głośne ruchy w polskiej lidze.

ORLEN BASKET LIGA

Dwa kluby zamknęły już składy. To Dziki oraz Czarni. W Słupsku został tylko jeden zawodnik z ostatniego sezonu, a pojawiło się aż dziesięciu nowych graczy! W Warszawie trener Marco Legovich pozostawił polską rotację, ale w całości wymienił obcokrajowców.



Fot. Piotr Kieplin / Press Focus

Viktor Gaddefors wraca do polskiej ekstraklasy. Będzie zawodnikiem Twardych Pierników Toruń.

Nowe twarze w Warszawie

W kadrze Dzików ciekawie wygląda przede wszystkim Joseph Girard, który przed dwoma laty był królem strzelców ligi litewskiej, a w ostatnim sezonie reprezentował barwy Cedevity Olimpija oraz Trabzonsporu. W dotychczasowej karierze dał się poznać jako wybitny strzelec z dystansu.

– Jesteśmy bardzo szczęśliwi i dumni, że zawodnik kalibru Girarda wybrał Dziki, aby kontynuować swój rozwój. Z pewnością jest doskonałym strzelcem za trzy punkty, ale to nie wszystko, ponieważ potrafi grać zarówno z piłką w rękach podczas pick and rolla, jak i bez piłki, dzięki swojej zdolności do rzutów po zasłonach – mówi trener Legovich.

Dużo dzieje się w zespole mistrzów Polski. Michał Kolenda przeszedł planowy zabieg stawu skokowego, przewidywany czas przerwy od treningów kapitana Legionistów ma wynieść od 8 do 10 tygodni. Klub opuścili Ojars Silins, Matthias Tass, DJ Brewton i Maks Wilczek. Z nowych graczy ciekawie wyglądają kontrakty reprezentanta Węgier Gyorgy Golomana (środkowy, 30 lat), który ostatnio grał w Portugalii, oraz Estończyka Markusa Ilvera (silny skrzydłowy, 24 lata).

MKS ściąga króla strzelców

MKS Dąbrowa Górnicza zabłysnął sprowadzeniem Amerykanina Daylena Kountza. Eksperci typują, że ten zawodnik może być jednym z głównych kandydatów na ligowego króla strzelców! Na razie ma na koncie ten tytuł w lidze węgierskiej, gdzie był zawodnikiem Egis Kormend (ze średnią 21,5 punktu na mecz oraz imponującą skutecznością 46,1% za trzy punkty). Ostatni sezon spędził we francuskim Cholet Basket.

GTK Gliwice skompletował już polską część rotacji. W klubie są zadowoleni przede wszystkim z tego, że na kolejny sezon zostali Kacper Gordon i Kajetan Misztal. Trzyletni kontrakt podpisano z perspektywicznym Maksymilianem Leńcem, a na dwa lata do Gliwic przyszedł Dominik Wilczek. Zagraniczna rotacja została wymieniona w komplecie. Rozstano się m.in. z Ivanem Almeidą, którego sprowadzenie było dużym wydarzeniem. Na razie podpisano cztery umowy, a dołączy jeszcze dwóch graczy. W Gliwicach liczą, że będzie to przełomowy sezon i po raz pierwszy GTK przebije się do fazy play off.

Mocne ruchy beniaminka

Ciekawy skład budują w Bydgoszczy. Beniaminek raczej nie będzie chłopcem do bicia. Trenerem został Anders Sommer, 42-letni Duńczyk, czterokrotny mistrz Danii oraz wicemistrz Francji z Paris Basketball. Po trzech sezonach w Ostrowie na przeprowadzkę do Bydgoszczy zdecydował się 33-letni David Brembly. Zza Atlantyku przyleciał Kacper Kłaczek, o którego starało się kilka innych klubów. 24-letni skrzydłowy pięć lat spędził na różnych uczelniach w lidze NCAA.

Start Lublin, który ostatni sezon miał mocno nieudany i długo bronił się przed spadkiem, tym razem chce mieć pewność gry w play offach. Przed kilkoma dniami zakontraktowano m.in. Amerykanina Jaizeca Lottie (rozgrywający, 28 lat). – To zawodnik, który pomimo młodego wieku ma już spore doświadczenie na europejskich parkietach. Liczymy, że będzie w stanie organizować naszą grę w ataku. Chcemy wykorzystać jego szybkość i możliwość kreowania pozycji dla strzelców – mówi trener Lublinian Wojciech Kamiński.

(pp)

AKTUALNE KADRY

Legia Warszawa
Przychodzą: Kristers Zoriks, Jakub Andrzejewski, Markus Ilver, Szymon Tomczak
Zostają: Błażej Czapla, Michał Kolenda, Wojciech Tomaszewski, Wojciech Jasiewicz, Dawid Niedziałkowski
Trener: Heiko Rannula

Zastal Zielona Góra
Przychodzą: Jakub Galewski, Trazarien White, Jan Wójcik, Veljko Brkić
Zostają: Andrzej Mazurczak, Conley Garrison, Filip Matczak, Miłosz Majewski, Krzysztof Sulima
Trener: Arkadiusz Miłoszewski

Dziki Warszawa
Przychodzą: Ta'Lon Cooper, Makai Ashton-Langford, Joseph Girard III, Tim Adetukasi, Michał Krasuski, Zane Waterman, Osun Osunniyi
Zostają: Michał Aleksandrowicz, Grzegorz Kamiński, Krzysztof Kempa, Łukasz Frąckiewicz
Trener: Marco Legovich

AMW Arka Gdynia
Przychodzą: Alex Stein, Oliwier Botorek, Kasper Suurorg
Zostają: Kamil Łączyński, Jarosław Zyskowski, Jakub Garbacz, Filip Kowalczyk
Trener: Mantas Cesnauskis

King Szczecin
Przychodzą: Ondrej Sehnal, Noah Reynolds, Zahir Porter
Zostają: Antoni Majcherek, Przemysław Żołnierewicz, Max Egner, Mateusz Kostrzewski, Tomasz Gielo
Trener: Maciej Majcherek

WKS Śląsk Wrocław
Przychodzą: Anthony Wrzeszcz
Zostają: Kyrell Luc, Błażej Kulikowski, Jakub Nizioł, Błażej Czerniewicz, Tymoteusz Sternicki
Trener: Danny Franco

Energa Trefl Sopot
Przychodzą: Kacper Marchewka, Karol Prorochowicz
Zostają: Jakub Schenk, Szymon Kiejzik, Szymon Nowicki
Trener: Krzysztof Roszyk

MKS Dąbrowa Górnicza
Przychodzą: Aundre Hyatt, Maciej Nagel
Zostają: Ron Curry, Jakub Musiał, Marcin Piechowicz, Jakub Wojdała, Nikodem Woźny, Martin Peterka
Trener: Artur Gronek

Anwil Włocławek
Przychodzą: Manu Lecomte, Mateusz Szlachetka, Adam Brenk, Josiah Strong, Sam Hines Jr., Szymon Wójcik
Zostają: Bartosz Łazarski, Dawid Stupiński
Trener: Vedran Bosnić

Tasomix Rosiek Stal Ostrów Wielkopolski
Przychodzą: Jaylin Hunter, Jared Billups, Tajion Jones, Karl-Johan Lips, Jakub Parzeński
Zostają: Daniel Gołębiowski, Nikodem Czoska
Trener: Andrzej Urban

Górnik Wałbrzych
Przychodzą: Mike Scott, Leemet Böckler, Kenny Goins, Soprano Szelążek, Maciej Żmudzki
Zostają: Ike Smith, Maciej Bojanowski, Maciej Puchalski, Dariusz Wyka
Trener: Andrzej Adamek

Arriva LOTTO Twarde Pierniki Toruń
Przychodzą: Luka Sakota, Maksymilian Wilczek, Kristaps Kilps, Bennett Vander Plas, Viktor Gaddefors
Zostają: Isaiah Cousins, Paweł Sowiński, Maciej Kenig, Damian Kulig, Hubert Lipiński
Trener: Srdjan Subotić

PGE Start Lublin
Przychodzą: Anrijs Miska, Grzegorz Kulka, Matthias Tass, Jaizec Lottie, Cezary Siergiej
Zostają: Courtney Ramey, Bartłomiej Pelczar, Filip Put, Patryk Kowalski
Trener: Wojciech Kamiński

Energa Czarni Słupsk
Przychodzą: Djordje Dimitrijević, Jakub Stupnicki, Keevan Veinot, Mason Madsen, Dominic Green, Dominik Grudziński, Kacper Borowski, Robert Carpenter, Demond Robinson, Aleksander Kornacki
Zostają: Jan Pluta
Trener: Krzysztof Szablowski

Tauron GTK Gliwice
Przychodzą: Eric Nottage, Maksymilian Leniec, Dominik Wilczek, Anthony Smith, Quinton Green, Milan Suskavcević
Zostają: Kacper Gordon, Marcel Walczuk, Kajetan Misztal
Trener: Nebojsa Vidić

Enea Abramczyk Astoria Bydgoszcz
Przychodzą: Jordan Ogundiran, David Brembly, Kacper Kłaczek, Piotr Wińkowski, Denzel Andersson
Zostają: Marcin Nowakowski, Martyce Kimbrough, Wojciech Dzierżak
Trener: Anders Sommer

Nie żyje legenda Lecha Poznań

Zmarł Jarosław Jechorek, w latach 80. jeden z najlepszych polskich koszykarzy.

W wieku 65 lat odszedł Jarosław Jechorek – wybitny koszykarz, wielokrotny reprezentant Polski i jedna z największych legend w historii sekcji koszykarskiej Lecha Poznań.

„Dziś rano odszedł jeden z największych w koszykarskiej historii Lecha Poznań – Jarosław Jechorek. Miał 65 lat. Chorował poważnie od kilku lat, ale walczył dzielnie, jak niegdyś na parkietach. W tym czasie odwiedzał też stadion przy Bułgarskiej i emocjonował się meczami Lecha. Szczun z Łazarza, do końca nie tracił pogody ducha. Czterokrotny mistrz Polski z Kolejorzem, grał z klubem w czołowej ósemce Euroligi. Pięciokrotny uczestnik mistrzostw Europy" – poinformował w mediach społecznościowych Maciej Henszel, były dziennikarz, a obecnie rzecznik Lecha Poznań.

Walczył do końca

W latach 80., będąc jeszcze dzieckiem i kibicem koszykarzy Zagłębia, zapamiętałem jego niesamowite pojedynki podkoszowe z Henrykiem Wardachem czy Januszem Klimkiem w finałowej serii Zagłębia Sosnowiec z Lechem Poznań.

Jeszcze przed rokiem, przed EuroBasketem, rozmawialiśmy o szansach Biało-Czerwonych w turnieju. „W takich zawodach jeden mecz może wprowadzić na wyższy poziom! Czego życzę z całego serca chłopakom i kibicom" – mówił wtedy w rozmowie ze „Sportem".

W ostatnich tygodniach ze względu na stan zdrowia trafił do poznańskiego hospicjum. Do samego końca zachowywał jednak wyjątkową pogodę ducha i bliskość z ludźmi. „Gdyby ewentualnie ktoś miał ochotę mnie zobaczyć, to od godziny 13 poniedziałek-piątek, a sobota-niedziela od rana otwarte. Nie odmawiam wizyty nikomu i serdecznie pozdrawiam wszystkich" – napisał niedawno na swoim profilu.

Walczył do końca. Był twardzielem w życiu i na boisku.

Piotr Płatek

WIELKA KARIERA NA PARKIETACH

W kadrze narodowej zadebiutował w 1981 roku. O mierzącym 208 centymetrów 19-latku pisano wówczas, że jest „największą nadzieją polskiej koszykówki". Rewelacyjny nastolatek podczas mistrzostw Europy w Czechosłowacji spisywał się znakomicie – w kończącym turniej meczu z Anglikami był najlepszym strzelcem zespołu, zdobywając 20 punktów. Łącznie w barwach reprezentacji Polski rozegrał 171 spotkań w latach 1981–1991 i wziął udział w pięciu turniejach mistrzostw Europy. Na podwórku klubowym stał się legendą Lecha Poznań, z którym wywalczył czterokrotnie mistrzostwo Polski, dwa srebrne medale i dwa brązowe oraz Puchar Polski. W swojej karierze reprezentował również barwy m.in. Śląska Wrocław, Zastalu Zielona Góra oraz francuskiego Le Mans Sarthe Basket. W sezonie 1989/90 został wybrany najlepszym zawodnikiem ekstraklasy, a do najlepszej piątki rozgrywek był nominowany trzykrotnie (1983, 1989 i 1990).

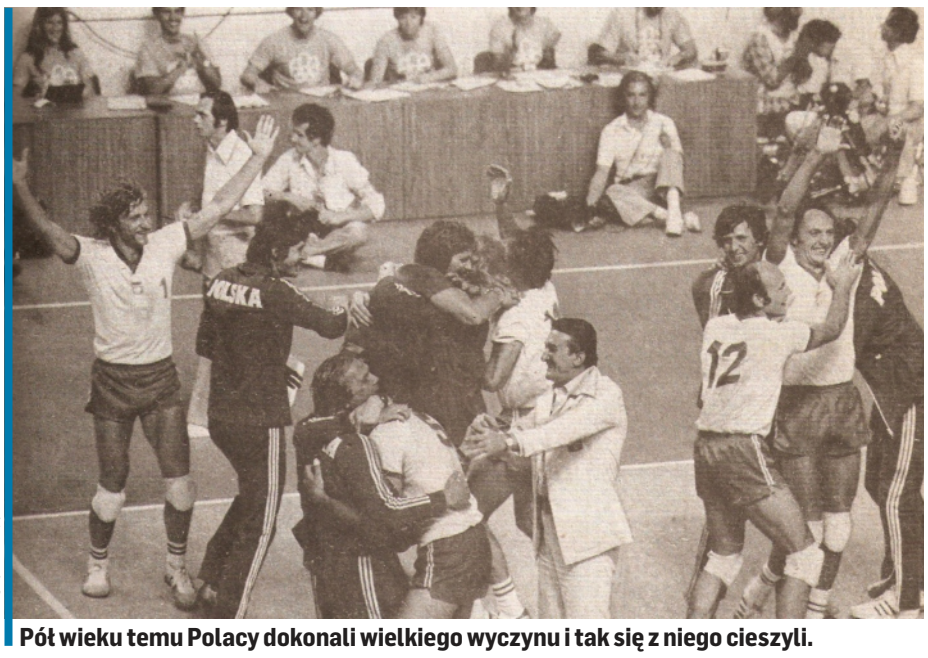
Sport 336cfef57a

Jedyne takie złoto

Montreal, 30 lipca 1976 roku. Najpierw blisko dwie i pół godziny heroicznej walki, a potem wybuch radości. Polacy pokonali Związek Radziecki i zostali mistrzami olimpijskimi!

Uwaga Czernyszow! I aut! Aut, nie było bloku! - krzyczał do mikrofonu komentator Telewizji Polskiej Wojciech Zieliński. To była ostatnia piłka olimpijskiego finału, w którym Biało-czerwoni pokonali ZSRR 3:2 i zostali mistrzami olimpijskimi. I choć od tego momentu minęło właśnie 50-lat, a polska siatkówka odniosła wiele sukcesów, olimpijskiego złota nie udało się ponownie wywalczyć.

A Czernyszow? Cóż, towarzysze ze Związku Radzieckiego takich błędów nie wybaczali. - Po tym meczu doznałem szoku nerwowego. Całymi godzinami mogłem siedzieć w bezruchu. Z domu prawie nie wychodziłem. Wszyscy wskazywali palcami - to ten, co przegrał drużynie finał olimpijski! Chudłem przerażająco, ważyłem osiemdziesiąt dwa kilo, dziesięć mniej, niż zwykle. Było mi wszystko jedno. Ten fatalny, niesamowity czwarty set... Śnił mi się miesiącami po nocach, a ja budziłem się z przekonaniem, że to nieprawda, że to nie mogło się zdarzyć... - zwierzył się po latach w rozmowie ze Zdzisławem Ambroziakiem.



Fot Igrzyska olimpijskie 1976

Pół wieku temu Polacy dokonali wielkiego wyczynu i tak się z niego cieszyli.

Młody z pomysłem

Do Montrealu Polacy jechali w glorii mistrzów świata. Wywalczyli je dwa lata wcześniej w Meksyku, dwukrotnie ogrywając m.in. głównego faworyta ZSRR w grupie 3:0 i w fazie finałowej 3:2. Twórcą sukcesu był zaledwie 32-letni Hubert Jerzy Wagner. Dopiero co ze swoimi podopiecznymi rywalizował na parkiecie. Nawet nie miał skończonych studiów na AWF. Powstała specjalna petycja przeciwnych wyborowi związku, ale działacze się nie ugięli.

Wagner, którego później przechrzczono na „Kata", ze względu na katorżnicze treningi, które aplikował zawodnikom, nie krył, że w Montrealu interesuje go tylko złoto. Mało kto jego zapowiedzi brał na poważnie, tym bardziej że na igrzyska nie zabrał Stanisława Gościniaka. Magika rozegrania, wyróżnionego nagrodą MVP podczas MŚ 1974. Siatkarz wyjechał do USA, co nie spodobało się Wagnerowi. Ten uznał, że Gościniak złamał reguły i zrobiła się afera. W Kanadzie za rozegranie miał wiec odpowiadać Wiesław Gawłowski, gracz nie mniej zdolny co Gościniak. W kadrze na igrzyska zabrakło też miejsca dla Wiesława Czai oraz Zbigniewa Jasiukiewicza.

Wagner miał jednak plan, który konsekwentnie realizował od pierwszego dnia pracy jako selekcjoner. – Dałem im odpocząć, szykując ich do startu w igrzyskach. Była to też mała asekuracja, nie odkryłem wszystkich kart, choć oczywiście mistrzostwa nie odpuściłem, bo ja nigdy żadnego, nawet towarzyskiego spotkania nie odpuszczałem. Prawie na każdym turnieju, w którym startowaliśmy, zajmowaliśmy przecież pierwsze lub drugie miejsce. Zawsze siatkarzom powtarzałem, że nie interesuje mnie, jak są zmęczeni. Walczyć trzeba zawsze. I walczyli. Uwierzyli mi, że jest sens tego, co robią – tłumaczył w wywiadach szkoleniowiec.

Mistrzowie pięciosetówek

W Montrealu marzenia się ziściły. Droga do złota była jednak długa, kręta i bardzo trudna. Polakom szło jak po grudzie. Już w pierwszym spotkaniu z Koreą Południową wygrali dopiero po pięciu setach. Zresztą w drodze do finału aż cztery z sześciu meczów kończyły się w piątej partii. Najtrudniejszy był z Kubą. Biało-czerwoni byli już na krawędzi. W decydującej odsłonie przegrywali już bowiem 11:14. Najlepszy atakujący kubańskiej reprezentacji przy piłce meczowej uderzył jednak o kilka centymetrów za linią. Potem role się odwróciły. Polacy się podnieśli i wygrali na przewagi. Było 20:18.

Bić Ruskich

Finałowe starcie z ZSRR rozegrano 30 lipca. W Polsce był środek nocy. Mimo to zainteresowanie było gigantyczne. W czasach PRL starcia z „Wielkim bratem", i to obojętnie w jakiej dyscyplinie, urastały do najważniejszych wydarzeń. – Im wyższą rangę miał funkcjonariusz, który nam towarzyszył, tym goręcej namawiał, żebyśmy dokopali Ruskim. Oczywiście namawiał po cichu – wspominał Wagner w wywiadzie udzielonym „Gazecie Wyborczej".

Rosjanie pałali żądzą rewanżu na porażkę w Meksyku. W Montrealu grali jak natchnieni. Do finału dotarli bez straty seta. Byli murowanymi kandydatami do złota.

Kontrowersyjna zmiana

Polacy finał zaczęli w składzie: Wiesław Gawłowski, Tomasz Wójtowicz, Włodzimierz Stefański, Ryszard Bosek, Mirosław Rybaczewski i Edward Skorek. Mecz był wymianą ciosów. W pierwszym secie górą byli gracze z ZSRR – decydujący atak przestrzelił Bosek, w drugim lepsza była nasza drużyna. W trzecim znów lepiej grali Biało-czerwoni, ale rywale odrobili straty. Wtedy Wagner wprowadził na boisko – ku zaskoczeniu wszystkich, w tym samym zainteresowanych – Marka Karbarza za dobrze grającego Rybaczewskiego. To był strzał w „10", „Kat" po raz kolejny pokazał, że swoich podopiecznych zna na wylot. – W finale coś mnie tknęło. Chociaż gdy Marek wchodził na boisko, to ręce mu się trzęsły i musiało minąć sporo czasu, zanim zaczął grać, jak oczekiwałem. Nie każdy ma nosa do zmian, to musi być dar od stwórcy – wspominał legendarny szkoleniowiec po latach.

Karbarz stał się cichym bohaterem finału, a jego ataki po rękach rosłych rywali przeszły do historii.

Mimo dobrej gry naszych siatkarzy Rosjanie wygrali trzecią partię, a czwarta? Tak ją opisał Krzysztof Mecner w książce „Historia siatkówki – igrzyska olimpijskie": „Czwarta partia jest niesamowita. Polska prowadzi 14:12, ma setbole, ale rywale nie dają za wygraną. Wyrównują. Za moment ZSRR ma meczbola przy wyniku 15:14, potem drugiego. Polakom nie drży jednak ręka w ataku. Drży za to znakomitemu Czernyszowowi, który dwa razy uderza w aut i to jest decydujący moment seta. Oba zespoły stanęły do decydującej partii, ale to Polacy byli przecież mistrzami piątego seta. Nic to, że partia rozpoczyna się od prowadzenia Rosjan 4:0. Biało-czerwoni wyrównują na 7:7, a potem nie oddają rywalom już żadnego punktu, wprawiając w osłupienie Rosjan i cały siatkarski świat!"

Dwa miesiące po igrzyskach w Kanadzie drogi Wagnera i jego podopiecznych się rozeszły. Szkoleniowiec zrezygnował z prowadzenia kadry.

(mic)



DROGA DO ZŁOTA

Faza grupowa

- Polska – Korea Płd. 3:2 (12:15, 6:15, 15:6, 15:5, 15:5)
- Kanada – Polska 0:3 (4:15, 7:15, 6:15)
- Polska – Kuba 3:2 (13:15, 10:15, 15:6, 15:9, 20:18)
- Czechosłowacja – Polska 1:3 (15:8, 11:15, 5:15, 14:16)

Półfinał

- Polska – Japonia 3:2 (15:17, 15:6, 15:6, 10:15, 15:10)

Finał

- ZSRR – Polska 2:3 (15:11, 13:15, 15:12, 17:19, 7:15)

MISTRZOWIE OLIMPIJSCY

Wiesław GAWŁOWSKI (zm. 14.11.2000)
Edward SKOREK
Mirosław RYBACZEWSKI
Tomasz WÓJTOWICZ (zm. 22.10.2022)
Włodzimierz SADALSKI
Włodzimierz STEFAŃSKI
Ryszard BOSEK
Marek KARBARZ
Zbigniew ZARZYCKI
Zbigniew LUBIEJEWSKI
Lech ŁASKO
Bronisław BEBEL
Trener Hubert WAGNER (zm. 13.03.2002)

POLECAMY IMPREZY SPORTOWE W TV

CZWARTEK, 30 LIPCA

TVP 1
20.10. Wiadomości sportowe

TVP 3
16.20, 19.00, 21.51 Przegląd wydarzeń regionalnych

POLSAT
13.15 Siatkówka: Liga Narodów, Polska – Ukraina (na żywo); 19.30 Wiadomości sportowe

TVN
19.35 Wiadomości sportowe

TVP SPORT
19.00 Boks: magazyn Ring (na żywo); 20.25 Pn: Eliminacje Ligi Konferencji, GKS Katowice – MKS Żylina (na żywo)

EUROSPORT 1
8.00 Snooker: Turniej Szanghaj Masters (na żywo); 14.30 Kolarstwo: Tour de'Ain, 3. etap, Tour de Denmark, 2. etap (na żywo); 20.00 Lekkoatletyka: Commonwealth Games (na żywo)

EUROSPORT 2
9.15 Szermierka: MŚ w Hongkongu (na żywo); 13.30 Snooker: Turniej Szanghaj Masters (na żywo); 21.00 Golf: Rocket Classic (na żywo)

POLSAT SPORT 1
8.45 Siatkówka: Liga Narodów, Włochy – USA, 13.15 Polska – Ukraina (na żywo); 17.00 , 21.00 Tenis: Turniej ATP w Waszyngtonie (na żywo)

POLSAT SPORT 2
19.00 Tenis: Turniej ATP w Waszyngtonie, 3.00 Turniej ATP w Los Cabos (na żywo)

POLSAT SPORT 3
2.25 Pn: Copa Sudamericana, O'Higgins FC – Boca Juniors Buenos Aires (na żywo)

POLSAT SPORT EXTRA 2
8.45 Siatkówka: Liga Narodów, Włochy - USA, 13.15 Polska – Ukraina (na żywo)

POLSAT SPORT EXTRA 3
9.15 Szermierka: MŚ w Hongkongu (na żywo)

CANAL+ SPORT 2
19.00 Tenis: Turniej WTA w Waszyngtonie (na żywo)

Wszystkie telewizje korzystają z prawa do zmiany w swoich programach. Powody zmian mogą być również niezależne.

Sport
Adres: 40-007 Katowice, ul. Uniwersytecka 13

Redaktor naczelny
Tomasz MUCHA
Redaktor wydania Grzegorz KACZMARZYK
e-mail: redakcja@dziennik sport.com.pl
Tel. 322587207
Wydawca
Edicom sp. z o.o.
ul. Hagera 41
41-800 Zabrze
Prezes Ryszard Halemba
Druk: Drukarnia Sosnowiec Polska Press Spółka z o.o., ul. Baczyńskiego 25a; 41-203 Sosnowiec

Sport 336cfef57a

Zatrzymać Ołeha Płotnickiego

Jeżeli zagramy na tym poziomie, który prezentowaliśmy w Chicago, to zakwalifikujemy się do najlepszej czwórki – stwierdził przed meczem z Ukrainą Tomasz Fornal, przyjmujący naszej kadry.



Fot. volleyballworld.com

Tomasz Fornal i jego koledzy w ostatnich meczach imponowali formą.

REPREZENTACJA MĘŻCZYZN

Najpierw Chicago, potem Spała, a na koniec Ningbo w Chinach – w ciągu dwóch tygodni Polacy przemierzyli pół świata. Czy zmiany stref czasowych mogą mieć wpływ na ich postawę w Final Eight? – Miałem okazję być w tym sezonie na wszystkich turniejach i przejechać przez wszystkie możliwe strefy czasowe. Z każdym kolejnym razem organizm łatwiej i szybciej się adaptuje – zapewnił Jan Firlej, rozgrywający reprezentacji Polski. – Za nami intensywny dzień, ale mam wrażenie, że zdołaliśmy już trochę odsapnąć. Patrząc na chłopaków podczas treningu, było widać zdecydowanie więcej świeżości niż chociażby dzień wcześniej. Mam nadzieję, że w zdrowiu przystąpimy do decydującego turnieju i będziemy najlepiej przygotowani, jak to możliwe – dodał.

W Ningbo Polacy bronią tytułu wywalczonego przed rokiem. Po tym, co pokazali w ostatnim turnieju kwalifikacyjnym w Chicago – ograli Bułgarię, Francję, Brazylię i USA, czyli światową czołówkę – wyrośli na głównych faworytów.

Polacy w Chinach przebywają już od kilku dni i... się nudzą. Trenują raz dziennie, zwykle wieczorem. – Wyczekujemy pierwszego meczu. Trenujemy o ostatniej możliwej porze, bo gramy ostatni ćwierćfinał, więc halę mamy dostępną najpóźniej. Tak naprawdę przez osiem godzin spędzamy czas poza nią. Próbujemy go jakoś zabić, idziemy na kawę, do sklepu i tak dalej... – mówił Tomasz Fornal. – Z doświadczenia wiem, że tak ja, jak i pozostali zawodnicy nie możemy doczekać się początku turnieju. Jak na razie jesteśmy zmęczeni tak dużą ilością czasu wolnego. Trenujemy raz dziennie półtorej godziny. Jak zaczniemy grać, to mam nadzieję, że będziemy mieli już trzy mecze w cztery dni – wtórował mu Nikola Grbić, szkoleniowiec naszej kadry.

Polacy marsz po obronę trofeum zaczynają w czwartek od ćwierćfinałowego starcia z Ukrainą. Drużyna ta z roku na rok pod okiem doskonale znanego w naszym kraju Raula Lozano robi postępy. Obok Turcji jest jednym z objawień bieżącej edycji Ligi Narodów. Dopiero drugi raz bierze udział w tej imprezie i po raz pierwszy zakwalifikowała do decydującej rozgrywki. W fazie grupowej wygrała siedem z 12 spotkań i zajęła siódme, ostatnie miejsce premiowane grą w Ningbo. Zdaniem Grbicia atutem ukraińskiej drużyny jest dobra zagrywka. Potwierdzają to statystyki Ligi Narodów: przyjmujący Dmytro Janczuk jest najlepiej serwującym zawodnikiem (21 punktów), Ołeh Płotnicki ma na koncie 16 asów, a Witalij Tupczij – 15. Najlepszy z Polaków, Bartłomiej Lemański, zaserwował 13 asów, tyle samo co ukraiński środkowy Jurij Semeniuk. Co ciekawe, obaj w nowym sezonie będą klubowymi kolegami w PGE Projekcie Warszawa. Grbić, oceniając rywali, zwrócił też uwagę na rolę, jaką odgrywa wśród nich Płotnicki. – On robi ogromną różnicę. To bardzo ważny gracz dla tej drużyny. Jej poziom wyraźnie wzrósł, kiedy wrócił. Wygrała z Brazylią czy Włochami – stwierdził Grbić.

Ukraińcy zdają sobie sprawę z siły naszego teamu. – Żeby mieć szansę na wygraną z Polską, moja drużyna musi grać bardzo dobrze, na granicy swoich możliwości. Polska, podobnie jak inne światowe potęgi: Włochy, USA czy Japonia, może wymienić czterech lub pięciu zawodników, a ich poziom nadal pozostaje najwyższy. Nie widzę większej różnicy. To czołowe reprezentacje świata. Nasza kadra jest bardziej ograniczona, ale my także rozwijamy się, jeśli chodzi o liczbę siatkarzy, którzy mogą wyjść w podstawowej „szóstce" i utrzymywać wysoki poziom – ocenił Raul Lozano w rozmowie z ukraińskimi mediami.

Mecz Polska – Ukraina w czwartek o godzinie 13.30. Transmisja w Polsat Sport.

(mic)

Problemy faworytów

W Ningbo rozpoczął się turniej finałowy. W pierwszych ćwierćfinałach nie było niespodzianek, co nie znaczy, że Słowenia i Japonia łatwo wygrały.

LIGA NARODÓW MĘŻCZYZN

Słoweńcy rywalizowali z Turcją. Wygrali w trzech setach, ale spotkanie było bardziej wyrównane, niż wskazuje końcowy rezultat. Drugi i trzeci set kończyły się grą na przewagi. Najwięcej emocji było w trzeciej odsłonie. Turcy mieli w niej aż 11 setboli, lecz nie potrafili postawić kropki nad „i". Zrobili to rywale i ostatecznie wygrali 39:37.

Słoweńcy mieli liderów w osobach Roka Mozicia i Nika Mujanovicia, którzy uzyskali odpowiednio 25 i 20 punktów. Atak turecki opierał się na Adisie Lagumdziji, który uzbierał 21 „oczek".

Słowenia w dwóch poprzednich edycjach LN uplasowała się na czwartej pozycji, więc po awansie do półfinału co najmniej powtórzy to osiągnięcie.

W drugiej środowej parze ćwierćfinałowej niepokonana w fazie interkontynentalnej Japonia napotkała nadspodziewanie duży opór ze strony gospodarzy, czyli Chin. Po pierwszej partii zapachniało nawet niespodzianką, bo Chińczycy ją wygrali, po ładnej i efektywnej grze. W kolejnych odsłonach górę wzięło jednak większe ogranie Japończyków.

(mic)

ĆWIERĆFINAŁY

■ **Słowenia – Turcja 3:0 (25:21, 35:33, 39:37)**
SŁOWENIA: Planinsić (1), Mozić (25), Stalekar (9), Mujanović (20), Urnaut (6), Kozamernik (8), Okroglić (libero) oraz Sen, Krzić (2), Bračko, Marovt. Trener Fabio SOLI.
TURCJA: Yenipazar (5), M. Lagumdzija (4), Berdirhan (9), A. Lagumdzija (21), Bayram (10), Tumer (11), Bayraktar (libero) oraz Hilmi, Sarnet, Kirkit (1), Yuksel (10), Baltaci, Gurbuz (2). Trener Slobodan KOVAC.

■ **Japonia – Chiny 3:1 (23:25, 25:23, 25:16, 25:23)**
JAPONIA: Fukatsu, Ran (21), Larry (13), Nishida (13), Ishikawa (5), Onodera (2), Yamamoto (libero) oraz Eiro, Nishimoto (7), Kai, Tomita (10), Otsuka, Miyaura (3). Trener Laurent TILLIE.
CHINY: H. Wang (1), B. Wang (19), Zhang (12), Jiang (7), Yu (3), Y.Z. Li (13), Qu (libero) oraz Yang (3), C.L. Wang, Peng, Wu, T.Y. Li (libero), L. Li (3), Wen (3). Trener Vital HEYNEN.

Nazwiska zobowiązują

Syn Grzegorza Tkaczyka i brat Arkadiusza Moryty, czyli znakomitych reprezentantów Polski, mieli wielki udział w inauguracyjnym zwycięstwie Biało-czerwonych.

MISTRZOSTWA EUROPY DO LAT 18

Znakomicie wystartowała reprezentacja Polski juniorów w rozgrywanych w Serbii ME do lat 18. Prowadząc przez niemal całe spotkanie, zrobiła ważny krok w kierunku rundy głównej – awansują po dwa zespoły z każdej z sześciu grup. Szansę na postawienie kropki nad „i" młodzi Polacy otrzymają błyskawicznie. W czwartek o 12.00 zmierzą się ze Słowakami i jeśli wygrają, będą mieli szansę awansować do kolejnej fazy turnieju, z której można otrzymać promocje do 1/4 finału.

Wyrównany początek

Inauguracyjne spotkanie z Norwegią rozpoczęło się od trafienia rywali, ale po 5 minutach było 2:2. Pierwszy fragment meczu był zatem bardzo wyrównany. Z czasem to jednak Polacy zaczęli przejmować inicjatywę. W 10 minucie prowadzili 4:2, a 3 minuty później przewaga wzrosła do 7:3. Biało-czerwoni imponowali twardą i agresywną obroną, byli bardzo zmotywowani, przechwytywali piłki, wyprowadzając z nich groźne kontrataki (10:5 w 17 min). W ataku pozycyjnym grali do pewnej piłki, a najaktywniejszy był Mateusz Tkaczyk. Kilkoma dobrymi interwencjami w bramce popisał się również Aleksander Drzewiecki. W kolejnych minutach przewaga Polaków ustabilizowała się na poziomie kilku trafień i taki obraz utrzymał się do końca pierwszej połowy.

CZY WIESZ, ŻE...

■ Europejska Federacja Piłki Ręcznej (EHF) nominowała Sylwię Bartkowiak i Weronikę Łakomy do prowadzenia spotkań podczas mistrzostw Europy do lat 18. Dla polskich sędzin jest to kolejny duży turniej tego lata. W czerwcu nasz eksportowy duet pracował przy okazji mistrzostw świata w piłce ręcznej plażowej mężczyzn i kobiet, które odbyły się w Chorwacji.

Brawa za konsekwencję

Po zmianie stron obraz meczu nie uległ zmianie. Grający konsekwentnie Polacy pilnowali wypracowanej wcześniej przewagi, a nawet zaczęli powiększać dystans. Kwadrans przed końcem prowadzili 22:18, po czym zanotowali serię trzech trafień i odskoczyli na 25:18. Norwegowie odpowiedzieli trzema golami, na co chłopcy trenera Wojciecha Jedziniaka odpowiedzieli kolejną serią (27:22). W samej końcówce Polacy zachowali spokój i jak najbardziej zasłużenie wygrali z wyżej notowanymi Skandynawami. Najskuteczniejszymi zawodnikami w naszej drużynie byli Mateusz Tkaczyk i Jakub Moryto, który został wybrany MVP meczu. Ich nazwiska mogą brzmieć kibicom znajomo. Mateusz jest synem Grzegorza Tkaczyka, a Jakub bratem Arkadiusza Moryty, czyli wybitnych reprezentantów Polski.

Zbigniew Cieńciała

■ **Polska - Norwegia 32:26 (15:12)**
POLSKA: Taiwo, Drzewiński - Kruszelnicki 2, Skiba 4, Tkaczyk 6, Moryto 5, Wiśniewski 3, Steczek, Foltyn 1, Cieśla 1, Pruszkowski, Arciszewski 1, Adamczyk 2, Lendzion 2, Sobczyk 3, Ciszewski 2. Trener Wojciech JEDZINIAK.

Sport 336cfef57a

Maks celuje w maksa!

Mistrz Polski w biegu na 400 metrów liczy na to, że w mistrzostwach Europy będzie biegał najszybciej w karierze. A tym może „wbiec" do historii.

NAJLEPSI W EUROPIE 2026

Bieg na 400 metrów mężczyzn
1. Matthew Hudson-Smith (W. Brytania), 44,09
2. Samuel Vessat (Francja), 44,24
3. Attila Molnar (Węgry), 44,47
4. Muhammad Kounta (Francja), 44,55
5. Ben Jefferies (W. Brytania), 44,66
6. Charles Dobson (W. Brytania), 44,69

...
12. Maksymilian SZWED, 44,94

Maksymilian Szwed trzeci raz z rzędu został mistrzem Polski w biegu na 400 m. W Białymstoku niespełna 22-letni zawodnik AZS-u Łódź był zdecydowanym faworytem i triumfował czasem 45,79 s., ale rywale naciskali: drugie miejsce zajął Remigiusz Zazula - 45,86, a trzeci był Marcin Karolewski - 46,01.

- Od początku chciałem pobiec cały dystans „na maksa" i zaatakować rekord życiowy. Szybko wyszedłem na prowadzenie i biegłem sam. Nie widziałem i nie słyszałem rywali. Nie wiedziałem, czy są blisko, więc po prostu szybko biegłem do końca. Całe szczęście udało mi się zdobyć złoty medal, bo jakbym odpuścił, to mógłbym go stracić - skomentował Szwed, który jednak nie był zadowolony z samego rezultatu.

- Czuję niedosyt. Liczyłem na lepszy wynik, gdyż dobrze się czułem od początku do końca biegu. Nie patrzyłem na zegar. Cieszę się jednak, że mam złoty medal. Trzeba będzie coś przeanalizować i dopracować przed mistrzostwami Europy – przyznał podopieczny Krzysztofa Węglarskiego.



Fot. Michał Kość / Press Focus

W Białymstoku mistrz Polski był naciskany m.in. przez czwartego na mecie mistrza olimpijskiego w sztafecie mikst (2021) Kajetana Duszyńskiego.

Sprzyjały gwiazdy

Mistrz Polski zwrócił uwagę, że biciu rekordów w biegach sprinterskich sprzyja wysoka temperatura. - My jako sprinterzy potrzebujemy ciepła, żeby dobrze biegać. W mistrzostwach USA temperatura wynosiła nawet 35 stopni. Szkoda, że w Polsce nie ma takiej pogody, ale musimy sobie radzić w tych warunkach - zaznaczył biegacz.

28 czerwca w Opolu Szwed poprawił rekord życiowy na 44,94. Od tamtej pory jeszcze częściej zaczęto mówić, że może pobić rekord Polski, który od 1999 roku należy do Tomasza Czubaka – 44,62. - W Opolu wszystko poszło idealnie i sprzyjały mi gwiazdy. Teraz do każdego startu podchodzę z takim założeniem, żeby bić rekord Polski, choć w Białymstoku się nie udało - zauważył.

21-latek zajmuje dopiero 12. miejsce na europejskiej liście, ale powinien liczyć się w walce o finał mistrzostw Europy (10-16 sierpnia).

- Zakładam, że w Birmingham zrobię rekord życiowy, chcę zaatakować też rekord Polski, choć nie będzie łatwo. Złamałem jednak barierę 45 sekund i mam nadzieję, że znowu mi się to uda - zapowiedział.

Lubi oczekiwania

W 2025 roku Szwed wygrał ranking Złote Kolce i został uznany przez PZLA najlepszym polskim lekkoatletą. Dokonał tego, gdyż zdobył srebrny medal halowych ME w Apeldoorn i pobił rekord kraju pod dachem na 400 m. Dobrze spisywał się też w sezonie letnim.

- Bardzo dobrze czuję się w roli zawodnika, od którego się wiele oczekuje. Czuję, że jestem na swoim miejscu i będę próbował to utrzymać jak najdłużej. Myślę o tym, żeby konkurować z europejską czołówką, dlatego w swoim kraju powinienem być najlepszy - zauważył.

Zawodnik AZS Łódź nie startował w ostatnim sezonie halowym i marcowych mistrzostwach świata w Toruniu, gdyż w grudniu 2025 doznał poważnej kontuzji - zmęczeniowego złamania kości łonowej.

- To uraz, który leczy się bardzo długo. Przeszedłem żmudną rehabilitację. Później zacząłem truchtać. W kwietniu wróciłem do pełnego treningu. Dlatego sezon letni jest dla mnie trudniejszy. To niesamowite, co udało mi się osiągnąć po kontuzji. Wróciłem do dobrej formy i nabiegałem mocny wynik. Nie czuję już żadnego bólu. Jestem w pełni zdrowy - przekonywał.

(t, PAP)

WOJSKO JEST WSPANIAŁE!

■ Maksymilian Szwed jest żołnierzem Wojska Polskiego i łączy służbę z wyczynowym uprawianiem sportu.

- Nie stanowi to dla mnie żadnego problemu. To jest bardzo dobrze poukładane. Jestem w stanie wywiązywać się ze swoich zobowiązań. Wojsko Polskie daje mi ogromne wsparcie i jestem naprawdę wdzięczny. Szczególnie w najgorszych okresach, kiedy jestem kontuzjowany, mam wsparcie finansowe i mentalne. To jedna z lepszych rzeczy, które mnie spotkały - podkreśla lekkoatleta.

Cudowne odrodzenie po fatalnym starcie

Magdalena Fręch wygrała pierwszy mecz w głównej drabince od dwóch miesięcy. O ćwierćfinał w Waszyngtonie zagra w czwartek z Jessicą Pegulą.

TENIS

Tenisistka z Łodzi przełamała w środę fatalny bilans z Ann Li - 0-5 – m.in. w lutym w Doha uległa jej 3:6, 4:6. Wreszcie jednak Magdalena Fręch (48. WTA) doczekała się premierowego zwycięstwa z 31. na świecie Amerykanką – w 1. rundzie turnieju WTA 500 na twardych kortach w Waszyngtonie (z pulą nagród 1,6 mln dolarów).

Początek spotkania wcale jednak na to nie wskazywał, bo Li miała nawet piłki na 5:0 w pierwszym secie, ale później Polka zdołała się odrodzić. Punktem zwrotnym okazał się piąty gem, którego Fręch wygrała przy podaniu Amerykanki po pięciu break pointach i 16 rozegranych punktach. Później, choć na korcie trwała zażarta walka, ostatnie słowo zwykle należało do naszej tenisistki, która po 82 minutach zapisała na koncie wygraną 6:4, 6:3.

Teraz „jedynka"

Łodzianka przerwała jeszcze jedną złą serię - wygrała po raz pierwszy w głównej drabince imprezy WTA od końca maja – czyli dwóch miesięcy! - gdy w 1. rundzie Rolanda Garrosa skreczowała Rumunka Elena-Gabriela Ruse; potem Fręch przegrała w 2. rundzie w Paryżu oraz pierwsze mecze na trawie w Berlinie, Bad Homburgu i w Wimbledonie.

W czwartek podopieczną Andrzeja Kobierskiego czekać będzie kolejne wyzwanie, gdyż po drugiej stronie siatki stanie rozstawiona z numerem 1 w stolicy USA Jessica Pegula, z którą w trzech dotychczasowych potyczkach Polka nie „urwała" nawet seta. Trzecia obecnie w klasyfikacji tenisistek Amerykanka triumfowała w Waszyngtonie w 2019 roku, a w 2016 i 2023 była w półfinale.

Wciąż singlowego meczu w tym sezonie (bilans 0-9) nie wygrała Venus Williams – 46-letnia dziś 7-krotna mistrzyni Wielkiego Szlema uległa w pięć kwadransów reprezentującej Austrię Anastazji Potapowej 3:6, 3:6. Porażka była dla legendarnej Amerykanki 12. z rzędu od czasu zwycięstwa w 1. rundzie w Waszyngtonie przed rokiem. Na osłodę – jest w ćwierćfinale debla w parze z Dianą Sznajder...

Hewitt śladem taty

Nad Potomakiem rywalizują też panowie (ale z pulą 2,4 mln USD), a pierwsze zwycięstwo w cyklu ATP odniósł tam Cruz Hewitt, 17-letni syn byłego lidera rankingu Lleytona Hewitta. Australijczyk (612. w rankingu) pokonał innego kwalifikanta, Amerykanina Marcosa Girona (85.) 6:3, 6:4 i został najmłodszym zawodnikiem, który wygrał mecz w tym turnieju od 2007 roku i podobnego osiągnięcia Japończyka Keia Nishikoriego. Hewitt junior został także czwartym zawodnikiem urodzonym w 2008 roku – 18 lat skończy w grudniu - lub później, który wygrał mecz w cyklu ATP. Trzy tygodnie temu Cruz dotarł do finału rywalizacji juniorów w Wimbledonie, 24 lata po tym, jak jego ojciec triumfował w tej najbardziej prestiżowej imprezie tenisowej. Z kolei w Waszyngtonie tata Hewitt triumfował w 2004 roku.

Nishikori w elicie

Co ciekawe, w tegorocznej edycji rywalizuje również wspomniany Nishikori, który żegna się z zawodowymi kortami; 36-letni Japończyk spędził 212 tygodni w czołowej dziesiątce rankingu ATP, w tym nieprzerwanie przez trzy lata (2014-17), był czwartym tenisistą świata, dziś jest 721. i otrzymał „dziką kartę", ale zameldował się w 2. rundzie. Co więcej, pokonując Chińczyka Junchenga Shanga 6:7, 6:3, 6:4) został jedenastym zawodnikiem od 1990 roku, który wygrał przynajmniej jeden mecz ATP w 20 kolejnych sezonach.

(ToM)

ZMARŁ JAN CZECH

■ W środę w wieku 93 lat zmarł Jan Czech, wieloletni trener i zasłużony działacz sekcji lekkoatletycznej Górnika Zabrze. Był z nim związany od 1950 roku. Przez blisko sześć dekad, od 1960 do 2008 roku, pracował jako specjalista biegów średnich, długich i chodu sportowego. Wychował wielu reprezentantów i medalistów mistrzostw Polski, od juniorów do seniorów, dla których stał się nie tylko szkoleniowcem, ale również mentorem i autorytetem. Był m.in. odkrywcą talentu Zbigniewa Jaremskiego, jednego z najlepszych polskich czterystumetrowców, bohatera pamiętnego biegu sztafetowego na igrzyskach olimpijskich w Montrealu (1976), gdzie Polacy zdobyli srebro (Jaremski zmarł w 2011 r.). Msza święta żałobna za Jana Czecha zostanie odprawiona w sobotę 1 sierpnia, o godz. 10.00 w kościele św. Anny w Zabrzu, po niej odbędzie się ceremonia pogrzebowa na Cmentarzu Parafialnym przy ul. Czołgistów.

(t)



Wojciech Kuczok

WYMIANA KOSZULEK

Jazda z Szoszonami!

Do Żyliny ode mnie rzut beretem, przejeżdżam średnio raz w miesiącu w drodze do jaskiń Strażowskich Wierchów, albo na którąś z Fatr. Zresztą widok na tę Małą rozpościera się z zachodniej trybuny Stadionu Pod Dubniem – jak mecz trefny, to można chociaż panoramę podziwiać. Widziałem tam zeszłoroczne męczarnie naszej młodzieżówki na mistrzostwach Europy, która, zanim ją przejął „Wuja", nie bardzo wiedziała, o co chodzi.

Wczeszły czwartek sam nie wiedziałem, o co biega, czy raczej truchta Katowicom na boisku. Wydawałoby się, że żylińscy „szoszoni" to idealny rywal na rozgrzewkę i przełamanie tremy po niemal ćwierćwiecznej przerwie w europejskich rozgrywkach, początek meczu zresztą wykluczył jakiekolwiek podejrzenia o stres. Przez pierwszy kwadrans GKS grał odważnie, skutecznie w pressingu, szybko zdobył gola i wyglądał na ekipę, która chce załatwić sprawę awansu na boisku rywali. Na domiar dobrego fanatycy GieKSy prezentowali się imponująco w odzianej na żółto ciżbie, zajmując trzy sektory pośród siedmiu tysięcy divaków. Dziwaki prawdziwe otoczyły arenę kordonem i sparaliżowały pół Żyliny, ponoć miasteczko nad Wagiem nie widziało jeszcze takiego najazdu – zbrojna policja była wszędzie i wyglądała, jakby wyczekiwała apokalipsy, albowiem Ślązacy są sprzysiężeni z cokolwiek nielubianym na Słowacji ostrawskim Banikiem. Strażmajstry przyodziane antyzamieszkowo, w ciężkich żółwiach ochronnych, w asyście koni z ochraniaczami na napięstkach, z pałami w łapskach, spod zamaskowanych hełmów łypały wrogo i ponuro na pojedyncze sztuki kibicowskie i zadawały pytania o narodowość. I weź tu się odezwij po polsku, a choćby i po ślunsku do takiego zbójcerza – co z tego, że masz bilet na trybunę gospodarzy, skoro na odprawie było wyraźnie powiedziane, że to mecz wysokiego zagrożenia, poliaci są niebezpieczni i nie wolno im pozwolić przeniknąć do sektorów zajmowanych przez lokalsów.

GKS Katowice ma obowiązek dzisiaj dowieść, że się przed tygodniem potknął na własnej gnuśności i lenistwie, bo jeśli z kimś ciułać punkty do rankingu to właśnie ze Słowakami.



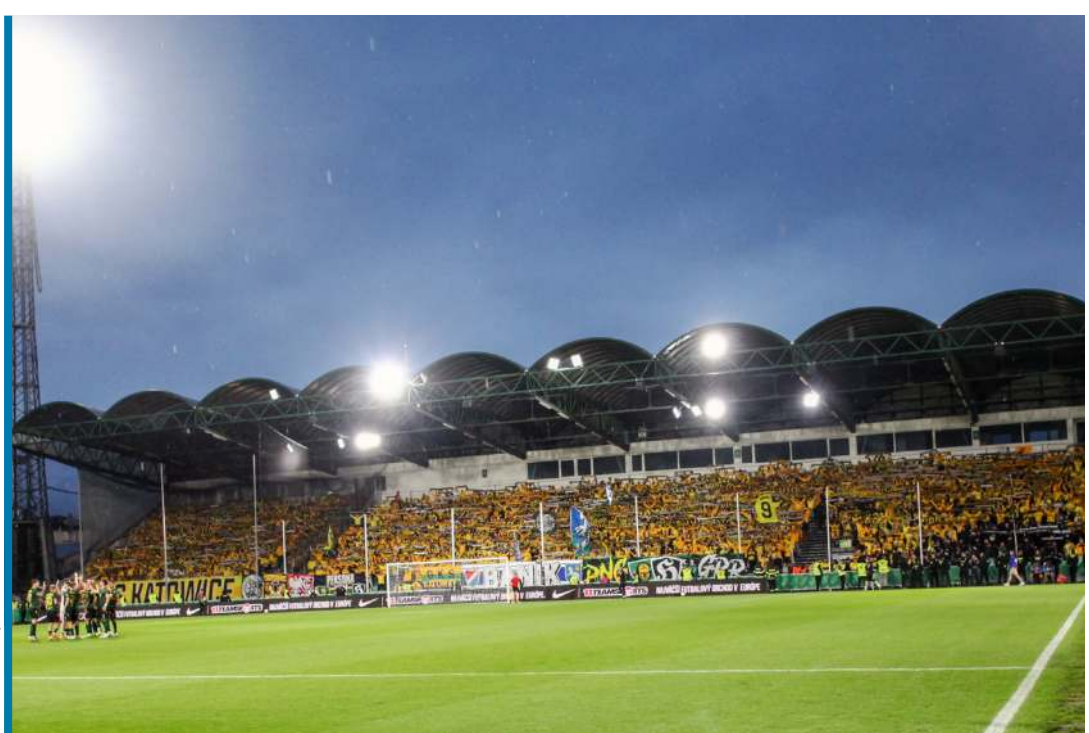
Fot. Tomasz Błaszczyk / Press Focus

W pierwszym meczu Tomaszowi Nowakowi zabrakło błyskotliwych pomysłów na rozegranie i gra GieKSy wyglądała topornie. Jak będzie w rewanżu?

Przypomniały mi się lata dziewięćdziesiąte; za każdym razem, kiedy wtedy wychodziłem lub – co gorsza – wyjeżdżałem na mecz, matka żegnała się, jakby miała mnie widzieć po raz ostatni, kilkukrotnie dopytywała „Synku, naprawdę musisz iść? W telewizji byś sobie zobaczył, kolacyjkę ci zrobię, piwko sobie wypijesz, no po co się narażać?", albowiem zaiste droga na trybunę wiodła przez strefę zadym, a i miejsc neutralnych na stadionach brakowało, można było stracić oko rykoszetem gumowej kuli albo zostać spałowanym prewencyjnie jako wysoce uogólniony fragment kibicowskiego tłumu. Tymczasem dwa tysiące GieKSiarzy zażółciło południowe sektory i dobrze a głośno się bawiło – można by rzec, że Katowice grały u siebie. Co nie wróży dobrze przed dzisiejszym rewanżem: atut ogłuszającego dopingu przyjaznej widowni nie pomógł zawodnikom. Mówiąc w skrócie: przegrali mecz po kiepskiej grze z bardzo przeciętnymi rywalami. Rozwijając: przegrali na życzenie własne, na konferencji pomeczowej tylko czekałem, aż trener sparafrazuje znany truizm i powie: „Przegraliśmy, bo od początku mecz się nam dobrze ułożył". Wyglądało to tak, jakby po piorunującym starcie górnośląskiej ekipy ktoś im z ławki zaczął rzucać probierzowskie aforyzmy o pucharach jako pocałunku śmierci i nieśmiertelne przykazanie polskiej myśli szkoleniowej „Pamiętaj w Europie, że się skupiasz na lidze". Najpierw nasi dali Żylinie w papę, a potem przez grubo ponad godzinę ją reanimowali, podali tlen, zrobili masaż serca, a kiedy się pacjent ocknął, dali mu jeszcze kanapki na drogę.

Stojąc w przerwie po vareną klobasę, widziałem na ścianie budynku klubowego koszulkę Jakuba Kiwiora w galerii największych sław żylińskiej piłki i zdało mi się, że nie tylko nasz reprezentacyjny stoper wrócił pod Dubeń, ale i Milan Skriniar i David Hancko, bo gospodarze nagle uszczelnili defensywę i czynili skuteczne wypady na bramkę Kobylaka z furią i werwą, jakiej dawno tu nie widziano. A przecie to jest drużyna kiepściutka, Raków przed rokiem nie dał jej cienia nadziei na awans, wiele się piłkarsko od tej pory nie zmieniło. GKS Katowice ma obowiązek dzisiaj dowieść, że się przed tygodniem potknął na własnej gnuśności i lenistwie, bo jeśli z kimś ciułać punkty do rankingu to właśnie ze Słowakami. Inna rzecz, że w Katowicach zbyt wiele zależy od Bartosza Nowaka – kiedy ten wyśmienity pomocnik ma dobry dzień, GKS czuje się pewnie i gra jak z nut; w Żylinie zagrał mecz z tych słabszych, zabrakło błyskotliwych pomysłów na rozegranie i wszystko zaczęło wyglądać topornie. Psiakrew, panowie – tak już w Europie nie przegrywamy! Do roboty, GieKSo!

Będąc w Żylinie, przypomniały mi się lata dziewięćdziesiąte; za każdym razem, kiedy wtedy wychodziłem lub – co gorsza – wyjeżdżałem na mecz, matka żegnała się, jakby miała mnie widzieć po raz ostatni, kilkukrotnie dopytywała „Synku, naprawdę musisz iść? W telewizji byś sobie zobaczył, kolacyjkę ci zrobię, piwko sobie wypijesz, no po co się narażać?".



Fot. Tomasz Błaszczyk / Press Focus

W Żylinie Katowice... grały u siebie!

Sport 336cfef57a